



ROK LVIII

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

NR 5

WARSZAWA, 31 STYCZNIA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Francja w walce z alkoholizmem—Hafa. Zapomniany szczególnie ważnego zagadnienia—Marja Jacuńska. Szkoły państwowe czy szkoły prywatne—K. S. Wiersze—Christina Rossetti (Przełożyła Zofja Rościszewska). List z Częstochowy—Wanda Miłaszewska. Zabłąkane dziecko—Grazia Deledda. Drogami duszy (powieść) c. d.—Helena Ceysingerówna. Fioletowa godzina (nowela)—Henry Bordeaux, tłum. M. D. Duch wśród materji—Z. Zawiszanka. Reforma gospodarstwa domowego—F. S. Kobieta w świecie i w domu—Z. B. Wychowanie fizyczne i życie sportowe kobiet—I. Fabrycowa. Sztuki plastyczne—N. Samotyłowa. Z książek—Stefanja Podhorska-Okolów. Nasiona ogrodowe—Stanisław Schönfeld. Kilka najnowszych sposobów wiązania woalki. Kapelusze paryskie—Hrabina Annie. Kretonowe gniazdko—W. Kłopoty karnawałowe—J. S. Korespondencje—R. Przepisy gospodarskie—Pani Elżbieta. Dobre rady. Nadesłane do Redakcji. Komunikat Biura Prasowego dla spraw kobiecych. Dodatek powieściowy: 1) „Biały Paw”—powieść Henry Bordeaux—autoryzowany przekład M. Domańskiej, 2) „Czar Kwietniowy” (przekład z angielskiego)—przez autorkę „Elżbiety i Jej Niemieckiego Ogrodu” (ciąg dalszy). Dodatek robót i ubiorów. ARKUSZ WZORÓW

FRANCJA W WALCE Z ALKOHOLIZMEM

Francja jest krajem, konsumującym olbrzymie ilości alkoholu w najrozmaitszej formie. Począwszy od dziecka kilkoletniego, skończywszy na starcu całe społeczeństwo francuskie pije wino (ewentualnie wódkę—przeważnie na północy). Żaden Francuz nie umie sobie wyobrazić obiadu lub kolacji, którąby mógł skosztować bez wypicia przy tem conajmniej butelki wina.

W takich restauracjach, gdzie obiad kosztuje koło 4 franków, podają do stołu wino, które nawet do rachunku oddzielnie nie jest wliczane. Należy ono do menu obiadowego.

Od najmłodszych lat Francuzi przyzwyczajają się do używania napoi alkoholowych. Małe dziecko jeżeli jest osłabione lub niezdrowe pija Francuzi winem, aby się wzmo-

ciło — w Normandji, Bretanji, jak również na południu Francji matki dają dzieciom nawet wódkę, którą dzieci zaczynają lubić, gdyż ta odurza je i wprowadza w stan podniecenia alkoholowego.

Rozmawiałam z jedną nauczycielką szkoły powszechnej we Francji, która mi opowiadała, że na lekcji nieraz miała do czynienia z dziećmi odurzonymi alkoholem. Jedne z nich były apatyczne i śpiące, dogadać się z niemi nie można było, siedziały w ławkach, nie zdając sobie sprawy z tego, co się dzieje na lekcji, co mówi nauczycielka, inne znów, na które alkohol działał wprost w odwrotnym kierunku—nie mogły opanować swych ruchów, ani głosu, zachowywały się źle. Nauczycielka początkowo nie mogła sobie wytłumaczyć co to jest — dopiero przy

bliższem zetknięciu się z dzieckiem widziała, że to jest stan podniecenia alkoholowego.

U nas w Polsce piją przeważnie mężczyźni, ani kobiety wiejskie, ani robotnice, ani kobiety — z warstw proletariatu miejskiego nie używają stale alkoholu — tutaj zaś, we Francji, a szczególnie w okręgach północnych kobiety piją bardzo dużo, piją narówni z mężczyznami i takie same jak i oni ilości. Przeciętnie robotnik francuski pije 3 litry dziennie — jest to ilość olbrzymia.

Na to, co się dzieje, zaczęto zwracać uwagę. A więc najprzód Akademia Medyczna w Paryżu, organizacje społeczne, higieniczne, sportowe, naukowe zajęły się tą tak palącą sprawą, jaką było i jest dotąd—zatrucie organizmu społecz-

nego przez nadmierne używanie napoi alkoholowych. Zaczęto słyszeć głosy zewsząd, że z tym nałogiem choć głęboko zakorzenionym—trzeba walczyć, walczyć energicznie i wytrwale, gdyż tu chodzi o byt materialny i moralny społeczeństwa i narodu.

Lekarze, widząc zgubne skutki alkoholu, podają do wiadomości publicznej dane statystyczne np że na 100 suchotników jest 85 — 88 alkoholików, że dzieci alkoholików są źle rozwinięte fizycznie i umysłowo i t. d. i t. d. Są to rzeczy nam znane, więc nie będę ich powtarzał. Że alkohol rujnuje przemysł, handel, obniża pod względem bojowym i liczebnym armję francuską.

Jak dowiodły obliczenia, armja francuska otrzymuje o jeden korpus rekruta mniej przez to, że alkohol wielu młodych ludzi doprowadza do stanu takiego, iż nie są oni zdolni do służby wojskowej. Francja z przerażeniem patrzy na to, do czego dochodzi i szuka ratunku.

Idąc więc za przykładem Ameryki, która wypowiedziała zaciętą walkę alkoholowi i prowadzi tę walkę energicznie, Francja tworzy organizacje, mające na celu to samo zadanie.

Chcę zaznaczyć tylko mimochodem, (gdyż nie było mem zadaniem w tym krótkim artykule przedstawić sytuację w Ameryce)—iż organizacje amerykańskie, walczące z alkoholizmem są nadzwyczaj liczebne i silne.

Organizacja powstała w roku 1874 pod nazwą Chrześcijańskiego Związku Kobiet, wydaje dzienniki propagujące powstrzymanie się od napoi alkoholowych, wychodzą te dzienniki w ilości 107,750 egzemplarzy. Dzięki tej samej instytucji 22 miliony dzieci amerykańskich otrzymuje wykształcenie w duchu antyalkoholicznym.

Egzystuje tam również druga organizacja kobieca „World's Woman's Christian Temperance Union“, która na swem żądaniu zakazu sprzedaży napoi wysokokowych dała 7.500.000 podpisów. W roku 1872 w Paryżu powstaje również organizacja pod nazwą „Ligue Nationale contre l'alcoolisme“. Rozwija się ona coraz bardziej, liczy już z górą 100.000 członków, ma 2000 oddziałów, szerzy propagandę na prowincji, zwalcza alkoholizm wszelkimi sposobami.

W artykule pierwszym statutu tej organizacji powiedziane jest, że Liga ma na celu walkę z alkoholizmem, przez łączenie i koordynowanie wysiłków skierowanych ku temu celowi. Łączy ona wszelkie stowarzyszenia, związki, instytucje, które przyczyniają się więcej lub mniej do tej walki.

Jako jeden ze sposobów działania liga wysuwa propagandę.

Propaganda odbywa się przez wykłady, pogadanki, wiece, artykuły, publikacje perjodyczne, dzieła naukowe, afisze, przez związki, konkursy, nagrody — przez koła abstynentów, patronaty, kawiarnie, restauracje bezalkoholowe, domy poprawy, i t. d.

W oknach lokalu Ligi Narodowej w Paryżu przy bulwarze St. Germain № 147 istnieje stała wystawa, gdzie każdy przechodzeń może zobaczyć, jak szkodliwy wpływ wywiera na organizm alkohol. Pokazany jest np. mózg alkoholika (obok

mózgu człowieka normalnego), nerki, serce, żołądek, wątroba i t. d. Skutki alkoholu na tych pokazach są zupełnie widoczne i przerażające.

Czy praca Ligi daje rezultaty?

„Niech to nas nie zniechęca — pisze p. Kuntrel w swej broszurze, przedstawionej I Kongresowi przeciw-alkoholicznemu pod tytułem Role de la femme dans l'alcoolisme — że jesteśmy mniejszością, i że zwolenników alkoholu są całe masy: czyż historia cywilizacji nie wskazuje nam, że praca nad postępowaniem powierzona jest mniejszości.

Wykorzenie tego nałogu u ludzi dorosłych jest bardzo trudne, ale praca nad dziećmi może dać wspaniałe rezultaty.

2000 Lig Szkolnych przesyła 10000 nauczycielom ludowym potrzebne wskazówki i literaturę do walki z alkoholizmem.

W armji Liga Narodowa wywalczyła to, że w kantynach żołnierskich istnieje zakaz sprzedawania napoi wysokokowych.

Liga komunikuje się z dowództwem pułków, daje im środki walki z alkoholizmem, przesyłając darmo bibułę antyalkoholową, tworząc sale rozrywek, biblioteki, teatry i t. d. Wreszcie Liga utworzyła wśród żołnierzy zrzeszenia przeciw-alkoholiczne. Takie wojskowe zrzeszenia powstały w samej Francji i w kolonjach np. Madagaskarze, na Martynice, w Maroco, w Cochinchinie, w Tonkinie i t. d. Liga wydaje swój przegląd miesięczny pod nazwą „Etoile Blanc“ w ilości 10.000 egzemplarzy i „Jeunesse“ pismo ilustrowane, przeznaczone specjalnie dla dzieci. Liga bierze udział w wystawach i kongresach międzynarodowych. Jest organizacją silną i liczną, której praca, da Bóg, przyniesie wielkie korzyści społeczeństwu francuskiemu. *Hafa.*



ZAPOMNIANY SZCZEGÓŁ WAŻNEGO ZAGADNIENIA

„Więc doprawdy, takie odczuwasz braki materialne? Jakże jestem nieszczęśliwy! Przecież to największy cios dla mnie, że ci nie mogę wszystkiego zapewnić, a teraz mam jeszcze patrzeć, że ty musisz sama na siebie pracować!”

Czy odpowiedź dobrej, rozumnej kobiety nie musiała być w tym duchu:

„Ależ nie, kochany, ja mam z twojej pracy wszystko, czego potrzebuję. Tylko, żebyś tobie ulżył, chciałam coś zrobić”.

I ostateczne rozstrzygnięcie przez męża:

„Lżejby mi było brać dodatkowe posady i pisać całymi nocami, niż znieść tę myśl, że nie jestem w stanie na ciebie zapracować.”

Oczywiście projekt upadł.

Tego rodzaju ambicja jest zupełnie fałszywa i zawiera znaczny procent egoizmu. Mąż nie orientuje się w tem, że kochająca kobieta skreśli wszystkie swoje istotne potrzeby, byle tylko osiągnął spokój i zadowolenie z siebie samego. Ponieważ jednak ambicja taka w życiu się zdarza i znacznie je utrudnia, musimy się z jej istnieniem liczyć. Choćby tylko dlatego, żeby takie przesady skutecznie zwalczać.

Zastanówmy się teraz nad pracą umysłową. Niestety, jedną z najtragiczniejszych cech okresu powojennego jest fakt, że dla większości zarówno kobiet, jak mężczyzn życie umysłowe jest niedostępnym luksusem. Oczywiście, że się z tem nie można pogodzić, oczywiście, że się z tem walczy, ale to mało zmienia postać rzeczy. Bo przeszkodą jest nie tylko brak pieniędzy na książkę, teatr czy odczyt, ale przede wszystkim brak czasu, zajętego całkowicie troską o byt — na pracę umysłową. Tyczy się to zupełnie tak samo kobiet i mężczyzn, i wszelkie żądania kobiet w tym zakresie to nie walka o równouprawnienie, tylko o uprzywilejowanie. Mniejsza jednak z tem, do tego tematu wrócę przy innej sposobności. Teraz chcę udowodnić, że nawet przy wszelkich danych materialnych i umysłowych ze strony kobiety — mąż może stanowić nieprzebytą przeszkodę w jej pracy naukowej. I to zupełnie bez złej woli z jej strony.

Znów fakt z życia:

Zarówno mąż, jak żona pracują naukowo. Mają dwoje malutkich dzieci. A zdaje mi się, że żadna epoka nie odznaczała się taką obfitością troskliwych ojców, jak współczesna. Mąż, uznając i podziwiając pracę żony, cierpi jednak nad tem, że dzieci pozostają całymi dniami pod opieką płatnych bonczy nianiek. Póki zajęcia żony ograniczały się do godzin przedobiednich, nie ujawniał swego niepokoju, kiedy jednak praca zaczęła pochłaniać ją coraz bardziej i większość wieczorów spędzała w instytucji naukowej, zrobił zupełnie szczerze następującą propozycję:

Obawa o dzieci przeszkadza mu w pracy. O ile ona musi opuszczać dom, w takim razie on porzuci swe popołudniowe zajęcie, nie będzie wychodził po obiedzie, żeby tylko dzieci czuły tę bliższą, serdeczniejszą opiekę.

Żona wiedziała doskonale, że zajęcie męża w godzinach biurowych — to praca zarobkowa, a późniejsze — praca naukowa w laboratorium nad jakimś ważnym wynalazkiem. Krótko trwały refleksie i zastanowienia. Bo kiedy są te dwie drogi do wyboru — własna sława i sława męża normalna, ambitna kobieta wybierze zawsze tę drugą. Każda będzie wolała być zwyczajną, rozumną kobietą, żoną „naszego znanego”, „zasłużonego”, niż być sławną, ale żoną miernoty. Taka już jest psychika kobiety.

Jednym słowem bohaterka mego opowiadania wróciła do zajęć domowych. Ale napewno, choć decyzja zapadła prędko, to jednak pogodzić się z nowymi warunkami nie będzie łatwo i tęsknota za dawnymi aspiracjami nieraz zachmurzy horyzonty jej życia.

Nie przesądzam tego. Może wejrząwszy bliżej w życie domowe rodzinne, ujrzała w niem taki bezmiar zagadnień interesujących, no-

wych, żywotnych, że jej wygimnastykowany umysł znalazł i tutaj świetne warunki dalszego rozwoju. Może.

Nie przesądzam nawet, czy postąpiła słusznie, czy nie można było znaleźć drogi lepszej, kompromisowej. Zaznaczam tylko, że i tu choć niby chodziło o dzieci ostatecznie sprawę skomplikował mąż.

* * *

Oto garść uwag, które mi się narazie nasunęły pod pióro.

Temat ten można znacznie jeszcze pogłębić i nie wątpię, że znacomiecie się do tego przyczyni ciekawa i żywotna dyskusja, tocząca się w „Bluszczu.” Podkreślam zaś różnorodność przeszkód, które stają na drodze pracującym kobietom nie dlatego bynajmniej, żeby je zniechęcać i skłaniać do rezygnacji. Przeciwnie: wszechstronne zbadanie i sprawiedliwa ocena trudności, ułatwi nam walkę.

A ta walka jest najcięższa. Bo każda z nas raczej wolałaby zginać sama, niż — zranić przeciwnika.

Mam wrażenie, że zgłębienie i uświadomienie sobie tego specjalnie „szczegółu” ważnego zagadnienia, może mieć dla społeczeństwa różne dodatnie strony:

1) Otworzy oczy kobiet pracujących na niebezpieczeństwa, jakie im grożą, a których (dopiero wiedząc o nich) mogą unikać.

2) Kobiety, których nie zmuszają warunki materialne ani nie uprawniają specjalne dane umysłowe, a które porzucają dom dlatego, że „dzisiaj wszystkie tak robią” — zmusi do zastanowienia: co ryzykują i za co są odpowiedzialne.

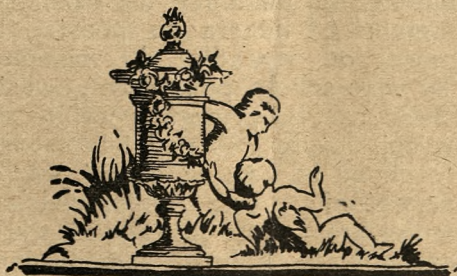
3) Pomoże dobrym, rozumnym mężom znaleźć sposób, jak ułatwić życie swoim pracującym żonom.

4) Pozwoli nam na odpowiednie uwzględnienie tego zagadnienia w wychowaniu nie tylko dziewcząt ale i chłopców, a to w przyszłości może odegrać wielką rolę. A logicznym następstwem musi być niezmiernie wzmocnienie podstaw bytu Rodziny, co jest dziś dla naszego społeczeństwa najważniejsze.

Niech więc epigonki wojującego feminizmu nie rzucają we mnie kamieniem za przypomnienie i obronę zapomnianych mężów.

Koniec.

M. Jacuńska.



Szkoły państwowe czy szkoły prywatne?

II

W poprzednim artykule starałam się przedstawić w ogólnych zarysach stan zapatrywań na szkolnictwo państwowe i prywatne w całej Polsce i podać „historyczne” powody, dla których, w każdej z trzech dzielnic, stosunki te tak właśnie się ułożyły. Wysunęłam przytem na pierwszy plan czynniki narodowe, bo one faktycznie — w tej, jak w każdej innej sprawie, — urabiały pogląd taki, lub inny, zależnie od potrzeb walczącego o swój byt narodu.

Ze, mimo radykalnie zmienionych stosunków, ten stan zapatrywań trwa dalej, to da się łatwo wytłumaczyć znaną właściwością natury ludzkiej, która długiemu potrzebuje czasu, aby pozbyć się pewnych przyzwyczajzeń.

— Zwłaszcza jeśli, tak jak w Królestwie, do niedawnych wspomnień zniechęconej szkoły rosyjskiej dołączą się uprzedzenia do władz jakoby wyłącznie importowanych z Małopolski.

Można jednak przyjąć prawie na pewno, że gdy powoli zniknie pamięć minionych czasów, gdy znikną ponadto antagonizmy dzielnicowe — ustali się także bardziej jednolity pogląd na szkolnictwo, normowany, jak gdzieindziej, li-tylko względami natury pedagogicznej, społecznej, ekonomicznej i t. p.

Przechodząc teraz do obiektywnego rozważania sprawy szkolnej, trzeba przedewszystkiem zaznaczyć, że — jak każda inna rzecz — mają naturalnie i szkoły, tak państwowe, jak i prywatne, swoje wady i swoje zalety. A choć ogólnych reguł tu postawić nie można, bo w gruncie rzeczy, poza systemem, poza organizacją i poza programem szkolnym, czynnikiem ostatecznie decydującym będzie zawsze dobór nauczycieli — to jednak można, przynajmniej w przybliżeniu, określić te, lub inne różnice.

Zaraz na wstępie trzeba podnieść jedną różnicę podstawową, a mianowicie: podczas gdy szkoły państwowe wykazują dość dużą jednolitość, to, przeciwnie, wśród szkół prywatnych widać znaczne stopniowanie od szkół o bardzo wysokim poziomie, do najniższych. Odrazu też zaznaczam, że, mówiąc o szkołach prywatnych, uwzględniłam przedewszystkiem szkoły dobre.

Badając tę sprawę w sferach rodzicielskich, skonstatowałam, że wśród względów decydujących o wyborze szkoły prywatnej, spotyka się najrozmaitsze rodzaje.

Przedewszystkiem niemożność dostania się do szkoły państwowej z powodu przepełnienia. Teraz zwłaszcza, wobec redukcji szkół, wielu trzeba zabiegów i protekcji, aby umieścić dziecko w szkole państwowej. I tych wypadków stosunkowo jest najwięcej.

Druga grupa wypadków: o wyborze szkoły prywatnej zdecydowała bliskość jej i lepszy budynek szkolny. Względ natury higienicznej nie małoważny.

Inni rodzice znowu wybierają szkołę prywatną, w przekonaniu, że nauka tam łatwiejsza, że łatwiej przejść z klasy do klasy — a więc chcą w ten sposób zapewnić dzieciom powodzenie w nauce.

Dość duża wreszcie jest kategoria rodziców zamożnych, których do wyboru szkoły prywatnej skłaniają względy towarzyskie społeczne: dobór dzieci, otoczenie, atmosfera szkolna. Chodzi im oto, aby dzieci ich nie stykały się z dziećmi ze sfer niższych, aby nie przesiąkły ich manierami, ich sposobem mówienia, myślenia i ich pojęciami moralnymi. Czy, wobec powstania nowej kategorii bogaczy wojennych, których etyka i dobre maniere wiele pozostawiają do życzenia, których jednakowoż stać, dla „bon ton”u, na opłacanie wysokich wpisów szkolnych — cel ten można dziś osiągnąć? to wielkie pytanie!

Co się tyczy względów naukowych i pedagogicznych, to te, niestety, może najmniej są brane pod uwagę w kołach rodzicielskich. W każdym razie bardzo mały procent rodziców tem się interesuje. Czy przypisać to obojętności, brakowi zrozumienia, czy też bezkrytycznemu zaufaniu do kierownictwa i władz szkolnych?

Odpowiedzieć zasadniczo i bez zastrzeżeń na pytanie, które ze szkół mają wyższy poziom naukowy i lepsze metody pedagogiczne: państwowe, czy prywatne — niemożliwe jest nawet w teorii. A cóż dopiero w praktyce, która wytworzyła odmienne warunki rozwoju, nie tylko od dzielnicy do dzielnicy, nie tylko od miasta do miasta, ale nawet od wypadku do wypadku. Tu więc szkoła państwowa, ówdzie znów szkoła prywatna wybiła się wyżej. Jeśli coś podnieść można to chyba to, że w dobrej szkole prywatnej grono nauczycielskie, mniej krępowane przepisami, większe posiada pole do samodzielności i inicjatywy w pracy pedagogicznej. Ale za to w wyższym stop-

niu zależne jest od opinii sfer rodzicielskich, w których, jak wiadomo, główną rolę grają dobre stopnie. A jeśli zważymy, że zakładem prywatnym ze względów materialnych, zależność musi na ilości uczniów, nauczycielom zaś na tem, aby nie stracić posady — dojdziemy do przekonania, że wpływać to musi ujemnie na ocenę i wogóle na stosunek do uczniów.

Z drugiej strony nie brak zakładów państwowych, w których kierownicy, świątli pedagodowie, traktując swe stanowisko nie jako biurokratyczny urząd, ale jako ideowy obowiązek społeczny, zostawiają nauczycielom samodzielność w pracy. Sami pełni inicjatywy, nie krępują inicjatywy drugich i tą koleżeńską współpracą, zapewniają zakładowi wysoki stopień rozwoju.

Jednym słowem: gdyby mnie się ktoś radził, jaką szkołę wybrać dla swojego dziecka, państwową, czy prywatną, odpowiedziałabym: to zależy. Musiałby mi przedstawić konkretnie, między którą, a którą szkołą mam wybierać — wtedy wybrałabym tę z nich, która właśnie byłaby lepsza.

Jakkolwiekby się jednak sprawy miały, trzeba potępić stanowisko tych nauczycieli, którzy, z tych czy owych powodów, chcą niejako bojkotować państwową szkołę polską. Gdyby bowiem nie było innych argumentów, to wystarczyłoby choćby ten jeden, że szkoła będzie właśnie taka, lub inna, zależnie od nauczycieli, którzy w niej pracują.

Na zakończenie chcę dodać kilka słów o szkole prywatnej, którą nazwę szkołą prywatną przyszłości.

Od szeregu lat mówi się o potrzebie stworzenia szkoły dla dzieci nadnormalnych, t. zn. dla dzieci szczególnie uzdolnionych, aby w ten sposób wychować rasę ludzi pod każdym względem nieprzeciętnie dzielnych. Z drugiej strony istnieją nowe, ulepszone metody pedagogiczne, których w dzisiejszych, przepełnionych szkołach stosować nie można, któreby jednak w takiej szkole, z małą ilością zdolnych dzieci, mogły wydać nadzwyczajne rezultaty.

Stworzenie takiej szkoły byłoby dla naszych potrzeb rzeczą nadzwyczajną pożądaną.

Inicjatywa prywatna mogłaby tu oddać narodowi ogromne usługi. Kto wie, czy w końcu materialnie by się nie opłacała.

Nad tem warto pomyśleć. K. S.

CHRISTINA ROSSETTI

ŻONA DO MĘŻA

(S R I F E T O H U S B A N D)

Mój miły, wybac mi winy
W imię gorącej miłości,
Dowidzenia!

Mórz mnie wołają głębiny
Śniegi śmiertelnej białości
Kraina cienia

Dla Ciebie słońce zostało
Uczyty i wino czerwone,
Dowidzenia!

Ja sznurem przepaszę ciało,
Choć stopy mam utrudzone
Idąc w kraj cienia.

Czekają mnie chłodne fale
I twarde, samotne łoża,
Dowidzenia!

Czas na mnie — próżne twe żale,
Płacz twój mnie wyrwać nie może
Z krainy cienia.

Przyjaciół pozdrów — jam chora,
Dla kilku serdeczne słowa,
Dowidzenia!

Ten pukiel obcięty wczora
Oddaj i pójde gotowa
W krainę cienia.

Dla ciebie słów nie mam — żywa
I wszelkie pieszczoty błędną,
Dowidzenia!

Skon obu dusz — zlanych w jedną
Zaiste śmierć to prawdziwa,
Kielich cierpienia.

PIOSENKA

(SONG)

Siedziała wzdry śpiewający
Na zielonym brzegu strumienia,
Śladząc ryb płasy, nurt rwący
W blasku słonecznego promienia —

A ja siedziałam w łzach cała
W zimnym, księżycowym promieniu,
Zieleń majowa kapała
Listowie w płynącym strumieniu.

Opłakiwałam wspomnienia —
Ona o nadziei śpiewała
Morze nie kryło westchnienia,
Jej pieśń w powietrzu konała.



OWOCOBRAŃIE

(AN APPLE GATHERING)

Z jabłoni swej różowe kwiaty pozrywałam,
Aby włośów ozdobą były do wieczora,
Ale jesienią puste gałęzie zastałam
Gdy zbiorów przyszła pora.

Z kołyszącym się koszem szłam znaną mi drogą,
Rumianego owocu szukając daremnie,
Z sąsiadów mych najbliższych nie było nikogo,
Ktoby dziś nie drwił ze mnie.

Młode Lilian i Liliis kroczyły śmiejące
Z płonem który mnie bolał jak nagrawaanie,
Dom ich matki stał blisko — zachodzące słońce
Chyliło się w szajrone

Sąsiedzi szli: samotni, parami, grupami,
Ostatni rzekł, że wieczór chłodny budzi dreszcze
I odszedł — Rosa spadła bujnemi kroplami
A ja czekałam jeszcze!

Gertruda minęła — w dźwiganu ciężaru
Ramię silne i młode przyszło jej z pomocą —
Głos słodki jak śpiewanie — pełen dla mnie czaru
Długo coś szeptał nocą.

Ach! Willie, Willie, czyliż miłości potęgą
Mniej wartą od tych jabłek w wieńcu świeżych liści?
Z najdojrzałych owoców w trawie biegła wstęga,
Lecz jakie z nich korzyści!

Tak samo ze mną kiedyś gowędziłeś dłużej
I śmiełeś się wesolo w tym różowym sadzie,
I pomyśleć, że to się nigdy nie powtórzy!
Jak gorzko wierzyć zdradzie!

WANDA MIŁASZEWSKA

LIST Z CZĘSTOCHOWY

(F e l j e t o n)

Dwie są Częstochowy. Jedna to miasto fabryczne, najeżone komi-
nami, pełne stukotu maszyn, roi
się od robotników i businessman'
ów. Druga Częstochowa, to ów
cichy klasztor, położony na wzgó-
rzu już poza właściwym miastem,
widny z daleka strzelistą wieżą,
otoczony fosami i tęgim murem
obronnym. Zwodzone mosty zastą-
pił teraz bity gościniec, wiodący
poprzez piękną bramę do wnętrza
zabudowań.

Tak się złożyło, że po raz pierw-
szy w życiu byłam w Częstocho-
wie dopiero tej jesieni—i to nie ca-
łą dobę, ale od pociągu do pociągu.
Kurjerski pociąg, śpieszący do Dzie-
dzic, zatrzymał się na krótką chwi-
lę, wyrzucił garstkę pasażerów i ru-
szył dalej, cały w obłokach pary,
osędziały od szronu, gdyż właśnie
tego dnia mróz ścisnął ziemię mo-
cną obręczą.

Ludzie poczęli tłoczyć się ku
wyjściu, popychając się pokrzyku-
jąc. Jak zwykle, ktoś tam zgubił
bilety, ktoś inny zapomniał walizki
w pociągu i rozpaczliwie wyma-
chując rękoma, wołał za znikającym
węzłem wagonów: Stój! stój!

Wyszliśmy wreszcie z cizby. Za-
padał szybko zmierzch, choć było
to dopiero około 4-ej po południu.
Kilku sennych dorożkarzy drzema-
ło na kozłach. Na nasz widok je-
den z nich ocknął się, przetaił
oczy i mocniej zebrał w garść
lejce.

— Daleko stąd do hotelu Polo-
nia? — pytam, nieświadoma, że
właśnie naprzeciw dworca mieści
się ów przybytek, o którym wiem
tylko tyle, że jest to „najpierwszo-
rzędniejszy“ hotel w Częstochowie.

Dorożkarz przyjrzał się nam bacz-
nie, otaksował palta nasze i mały,
skórzany neser, zdolny pomie-
ścić zaledwie kilka najniezbędniej-
szych przyborów toaletowych.

— Co tam hotel, — mówi pań-
stwo pewnie do klasztoru, co? Ja
państwa odwożę pod sam klasztor,
tam są pokoje do wynajęcia. Bar-
dzo wygodne pokoje w prywatnych
mieszkaniach!

Zapytany powtórnie o hotel,
wzrusza pogardliwie ramionami,
wskazuje końcem bata najbliższy,
bury dom i cmoknąwszy na konia,
odjeżdża majestatycznie w przeciw-
ną stronę.

Wchodzimy do pierwszorzędnego
hotelu. Otrzymujemy pokój wielki,

jak stodoła, umeblowany luksuso-
wo garniturem z czerwonego plu-
szu; ów luksus kosztuje słono: ośm-
naście i pół złotego na dobę. Trud-
no będzie „wymieszkać“ te pienią-
dze, zwłaszcza, że nie dla przesia-
dywania w numerze hotelowym
tłukliśmy się z Warszawy i oddy-
chali przez kilka godzin zapuszczo-
nem powietrzem wagonu.

Pytamy na wstępie, czy portjer
wie, o której odsłaniają Obraz.

— O siódmej z rana — powiada
służący.

— O szóstej — rzecze portjer.

— Musi o siódmej.

— O szóstej, durniu. Ja sam
często chodzę, to wiem.

Poczem objaśnia z namaszcze-
niem, że należy wstać wobec tego
o piątej, a dorożką, o ile mamy za-
miar jechać dorożką, wartoby za-
mówić zaraz, choć i tak niewiado-
mo, czy przyjdzie: bo te doroż-
karze wolą spać, niż zarobić naj-
lepszy „kurs“.

Ruszamy na miasto. Wzdłuż
główniej ulicy pozapalano już niktę
latarnie. Zmierzch zgęstniał zupeł-
nie. Jedziemy zobaczyć klasztor. —
Mam wrażenie, że droga nie wzno-
si się wcale pod górę. Wypoczęty
konik biegnie sobie rażnego truch-
cika.

— Gdzież ta Jasna Góra? —
myślę. Hen, zdaleka, zaczyna ma-
jaczyć wieża klasztorna. Wysoko,
wysoko... A w dole migoce czer-
wone światelko: płynie z okna ka-
plicy, w której mieści się Cudowny
Obraz.

Brama klasztorna jest jeszcze
otwarta, jak również sklepik z de-
wocjami, mieszczący się w pobliżu.
Gdzieś tam zamajaczy cień ludz-
ki. Cisza tylko nieliczne kroki dud-
nią głucho po kamiennych taflach
chodnika. Idziemy za pierwszym
lepszym przechodniem, mijamy bra-
mę, w której spaceruje warta. Dą-
żymy jakimiś tajemniczymi zauł-
kami w stronę kościoła. Pusto,
ciemno.: Jedyna lampka oświeca
piękną, gotycką nawę. Ale oto w
dali, z za drzwi przymkniętych do-
biegają dźwięki muzyki i słychać
śpiew. Dążymy za tym niezawod-
nym przewodnikiem, kaplica pra-
wie pełna ludzi, choć to powsze-
dni dzień, a obraz zasłonięty o tej
godzinie.

Kilka bab, odzianych z miejska
w ciemne salopki, wolno przesuwają
się na klęczkach ku kratom, za

którymi długim szeregiem widnieją
wota, rozwieszane na ścianach.
W ołtarzu Obraz, przykryty rzeź-
bioną płytą złoconą.

Kobiety nucą półgłosem jedną
z tych długich pieśni, ułożonych
tu na miejscu ku czci Bogarodzicy.
Monotonna melodia wzbija się, to
znowu przycicha. Kaplica pustosze-
je powoli.

Wychodzimy teraz na wały. Jest
piękna, mroźna noc. Z za drzew
dalekich wychylił się ogromny księ-
życ i przyświeca czystem srebrem
przez koronkowy szczyt sygnaturki.
Na zboczach wzgórza bieleje cien-
ka warstwa śniegu, który spadł
kilka dni temu i zakrzepł na mro-
zie. Stanowi on jedno z najpotrzeb-
niejszych akcesoriów dla dopełnie-
nia obrazu. A obraz sam się nasu-
wa przed oczy tu, na tem miejscu,
pośród tych murów. Nie jeden —
sto obrazów z „Potopu“.

Mogłam się naocznie przekonać,
jak genialnie plastyczny jest Sien-
kiewicz w opisach swoich. Toć to
przecież jasne, że właśnie tu, na
tem miejscu musiał stać Kmicic ze
swoją armatką i grzał z niej w stro-
nę obozów szwedzkich na rozleg-
łej płaszczyźnie, o tam, gdzie te-
raz szerzy się miesięczna poświata,
przecięta gdzieś ostrą linią
bezlistnych drzew.

Tędy, o, tedy sprowadzał ów —
że Kmicic Kuklinowski i zadał
mu tęgie kopniecie, tak, że zdrajca
upadł w śnieg i przetaił się po
nim, skracając sobie w ten sposób
drogę powrotną po niefortunnej misji.
A tam, gdzie połyskują niepewne,
różowawe światelka — musiały stać
namioty starszyny szwedzkiej.

Wrażenie jest tak silne, że wy-
obraźnia nie ma tu nic do roboty.
To nie ona nasuwa myśl, niemal
pewność, że jeśli teraz wychyli się
nagle z za któregoś węgła gromad-
ka zbrojnego rycerstwa — nie by-
łoby w tem nic fantastycznego...
Realizm otoczenia wskrzesza roje
wspomnień, bo to są przecież na-
sze wspomnienia. Któż z nas nie
przeżył tych wszystkich scen
z „Potopu“, zrosniętych z murami
Jasnogórskimi i dopełniających
tak barwnie dzieje bohaterkiej
obrony „kurnika“, który się uparł
niezwalczonej potędze wrogów?

Z tej dziwnej pół — halucynacji
wyrывa nas wreszcie głos trzeźwe-
go rozsądku, że jutro trzeba wstać

bardzo wczesnie, a zatem — pora powrócić do hotelu.

Nazajutrz wyruszamy skoro „świt“ — to znaczy po ciemku. Znowu, jak poprzedniego wieczora, wita nas czerwone światło, czuwające nad miastem — znowu mającą cienie ludzkie, tym razem liczniejsze znacznie.

Zbite gromadki podążają wraz z nami, by zacząć powszedni dzień od pokłonenia się Tej, która jest Uzdrowieniem chorych i Pocieszeniem strapiionych.

Nie znam dość pięknych, dość wzniosłych słów, by można godnie opisać samą chwilę odsłonięcia Obrazu. W momencie, gdy oczom

naszym ukazuje się ciemna, dwoma szramami od cięcia szablą znaczną twarz, myśl nasza kołacze do bram niebieskich i kornie klęka przed Majestatem najlepszej, najśodszej Panny Maryji, Matki Bolesnej, Zwierciadła Sprawiedliwości, Stolicy mądrości i Królowej Korony Polskiej.

G R A Z I A D E L E D D A

ZABŁĄKANE DZIECKO

2)

Mateusz wziął zimne małe rączki i zapytał głosem przenikliwym:

— Powiedz, czemu spałeś tutaj?

Malec nie odpowiedział.

— Powiedz, dlaczego, kochanie? Jak się nazywasz?

— Nazywam się... nie, nie powiem, nie, nie, — rzekł z nieufnością i znów starał się uciec. — Niech mi pan da odejść, niech...

— A gdzie chcesz pójść o tej porze? Nie chcesz wrócić do domu?

— Nie, nie chcę wrócić do domu.

— Rozumiem — pomyślał Mateusz — malec uciekł z domu. Ale dlaczego?

— Dlaczego uciekłeś z domu, kochanku? Powiedz mi to. Nie zaprowadzę cię do domu; zaprowadzę cię, dokąd zechcesz. Dokąd cię zaprowadzić?

— Pójdę sam.

— To powiedz choć, dokąd chcesz iść, wskażę ci drogę.

— Nie powiem.

Rzecz była poważna. Przy każdym zdaniu malec kręcił głową z niezadowolaniem i starał się wymknąć z rąk Mateusza.

— A więc, — rzekł wstając z ławki i podnosząc małego, — jeżeli mi nie powiesz, nie pozwolę ci odejść.

— To cię ugryzę.

— Ach! mały nicponiu, pewnie coś przeskrobałeś. Zaprowadzę cię do więzienia.

Malec zadrżał cały i zaczął płakać ze strachu. Mateuszowi żal się zrobiło i poczuł, że złą drogę obrał; ale cóż chcecie, nie pamiętał, by kiedykolwiek miał do czynienia z dzieckiem i nie wiedział, jak naprawić zło. To też postąpił jeszcze gorzej.

— Słyszysz straż! — rzekł ostro, chcąc uciszyć malca, który o straż, wzmiankowanej już w domu, miał przeraźliwe wyobrażenie i za-

miął wystraszony, tuląc się do piersi nieznajomego.

Ten wtedy przycisnął go do siebie i wstąpił na oświetloną przez księżyc ścieżkę.

— Nie lękaj się — rzekł łagodnie, prawie ze wzruszeniem, — gdy jesteś ze mną, nic ci się nie stanie. Zawiozę Cię, gdzie będziesz chciał. Ale powiedz mi w pierw, jak się nazywasz i dlaczego uciekłeś z domu.

Malec milczał uparcie.

— Widzisz maleńki, teraz jest noc, a w nocy podróżować nie można. Pojedziemy jutro rano, a tymczasem wezmę cię do siebie i pokażę dużo książek z obrazkami.

— Malowanemi?

— Tak i malowanemi. Powiedz, jak się nazywasz, powiedz kochanie.

— Gino.

— Ślicznie. A więc Gino...

Mały zdawał się żałować.

— Nie, nie nazywaj mnie Gino, mam inne imię.

— Niech sobie będzie inne imię, ja cię będę nazywać Gino. Otóż mam książki z pięknymi, kolorowymi rysunkami. Potem wyjedziesz.

— Czy przechodziłeś tą ulicą idąc do lasku?

— Tak tędy. A co jest w obrazkach? Czy jest może straż? — zapytał, zniżając lekliwie głos.

Mateusz nie odpowiedział. Myśląc, że powraca do domu, do którego miał zamiar już nie wrócić, poczuł nagle zlodowacenie. Wszystkie niepokoje, przygłuszone na chwilę, obiegły go znowu. Zapomniał o dziecku, które trzymał na ręku i zapytał sam siebie:

— POCO przedłużam tę moją agonję?

Malec zauważył, że nowy jego przyjaciel zmienił się i przyglądał mu się bacznie, nieśmiało, cały zatopiony w swych dziecińczych

myślach. Co się stało temu panu? Czy go podchodzi? Czy zamiast zaprowadzić go do swego domu i dać książki z obrazkami, nie od- da go straży?

W małej jego główce patrol, ta niewidzialna garstka żołnierzy, chodzących miarowo w nocy przy odgłosie szabel, miała w sobie coś tak przerażającego, że przechodziła wszystkie strachy, jakie działały na jego wyobraźnię.

— Gdzie jest straż w tej chwili? — zapytał zdławionym głosem.

Mateusz zrozumiał wysiłek małego mózgu i chciał z niego skorzystać:

— Nie wiem gdzie jest, ale możemy ją spotkać i jeżeli mi nie powiesz, jak się nazywasz...

— Nazywam się Gino Lauretti.

— Lauretti? Nie znam nikogo tego nazwiska — pomyślał; ale nie chciał się zagłębiać, by nie stracić sposobnej chwili.

Malec drżał lekko. Mateusz szedł wolno, nieco zdyszany niezwykłym ciężarem, ale nie pamiętał o sobie znowu.

— Więc nazywasz się Gino Lauretti. Dobrze. A twój tatuś nazywa się Antoni?

— Nie, nazywa się Andrzej.

— Ah Andrzej! A mamusia?

— Mamusia umarła.

Mateusz zaczynał rozumieć, ale niejasno.

— A braciszkwowie i siostrzyczki?

— Nie mam ich, nie mam wcale — rzekł malec wyprostowując się. Oczy mu błyszczały. — Ona powiada, że Lauretta to moja siostra! Lauretta jest szkaradna i bije mnie także. Ja jej nie chcę.

Mateusz słuchał uważnie, idąc powoli.

W słowach dziecka przebiegała się bowiem cała historia. Kto to była ona? Macocha? Dał małemu wypowiedzieć się nie przerywając.

(c. d. n.).

HELENA CEYSINGERÓWNA

34)

D R O G A M I D U S Z Y

(p o w i e ś ć)

Stopniowo ostry regulamin więzienny rozluźniał swe tryby.

Cierpliwą, utalentowaną hafciarkę, z rąk której wychodziły zachwycające negliże, jak koronka przejrzyste serwetki, monogramy o cudownie splecionych linjach, wszystko za darmo... zaczęto zjednywać sobie, niemal współzawodniczyć o jej względy. Przynoszono jej z miasta podarki: owoce, wędlinę — to wszystko, co w więzieniu uchodzi za przysmak, a co ważniejsza — książki i gazety. Ofiarowywano się nawet przynosić listy, co zresztą zwykle opłacało się grubo pośrednikom. Korespondenci z miasta płacili ochoczo nawet bardzo wygórowane „honorarja“.

Wanda nauczyła się ukrywać wszystko: milczeć dyskretnie o jednych przed drugimi; nie widzieć czrechy, od których boleśnie ścisnęło się ludzkie jej serce, a wobec których była zupełnie bezsilna, ona „pozbawiona praw“. Nauczyła się nie słyszeć grubych epitetów, którym felczarka częstowała swoje pacjentki; nie dziwić się, że jedynym frazesem powtarzanym codziennie przez lekarza, który nigdy żadnej chorej się nie dotknął, było: „dajcie jej aspirynul“

Cichą łagodnością, nie mieszaną się do sporów i kłótni, usługą pomocą zawsze, gdy to było w jej siłach, czasem słowem dobrem, głębokiem i wnikliwym, zjednywała sobie aresztantki i personel dozorczy.

Wysoka, blada, w białym odzieniu, coraz szczuplejsza i zawsze prawie schyłona nad robotą, katorżanka ta nakazywała szacunek. Zamiast „ty“ zwracano się do niej jej nazwiskiem: niech Malczewska...

Felczarka, władczyni lazaretu, niewiasta wielkiego sprytu i wyrobienia w sprawach służbowych, miała zwyczajowe prawo dobierania sobie pomocnic z pośród aresztantek. Po paru miesiącach wybór jej padł na Wandę, a gdy okazało się, że jest wykwalifikowaną sanitariuszką, złożyła na nią najcięższe ze swych obowiązków. Wanda opatrywała syfilityczne i gruźlicze wrzody, mierzyła temperaturę chorym tyfoidalnym, nacierała im ocetem płonące gorączką ciała, robiła okłady, roznosiła po celach lekarstwa i t. d. i t. d. Zapewniło to jej bardzo dużą dozę swobody.

Mogła chodzić po całym więzieniu, znała wszystkich, powierzano jej smutne tajemnice. Czasem, nawet w nocy budziła ją dyżurna, by niosła pomoc w nagłych wypadkach. Dochodziło do paradoksalnych sytuacji: pod nieobecność felczarki do niej zwracał się klucznik zapytaniem, czy tę lub ową chorą z lazaretu zaprowadzić można na rozprawę sądową?

A choć wszyscy, bez wyjątku znali ją w roli sanitariuszki, jasnym było dla niej i dla wszystkich, że naczelnik więzienia nie powinien był nigdy spotkać jej na korytarzu, a tem bardziej w celach innych aresztantek. I w istocie nie spotkał nigdy.

Dozorczynie „katoliczki“ wszystkie były jej życzliwe. Zdarzały się i tutaj serca dobre i ręce czyste — ale było w tem coś więcej. Oto nawet dobrodusze łapowniczkę rozumiały coś niecoś, że sroga kara Wandy to nie hańba i wstyd, że jakoby ona i za nie... Na tem poczuciu niewiele można było zbudować. Istniało skarłałe w zarodku.

Moskiewki czuły do tej, politycznej głuchą odrazę. Zwłaszcza Sawinowa inteligentniejsza od reszty, wychowana w Warszawie, mówiąca po polsku poprawnie, choć z lekkim seplenieniem, szczególnie badawczo patrzyła na nią. Zdawało się, że przenika ją nawskroś i z pewnym niepokojem uchodzi przed spojrzeniem tej „polki“. Dziwna rzecz Wandę tylko nazywano tak w tem więzieniu, gdzie przecież kolosalna większość przestępczyń należała do rodzimej ludności „Prywiślinja“. Ale i Rosjanki liczyły

się z nią, raz ze względu na bezpłatną, a tak szczególnie cenioną tu pracę, a powtóre iż wiadano, że cieszy się wysoką protekcją żony naczelnika, która coraz nowemi zarzucała ją robotami.

Po paru latach zżyto się z nią zupełnie.

Bardzo chłodny był stosunek Wandy do innych politycznych. Było ich z początku niewiele: przeważnie żydówki, o ideologii, internacjonalu, spoglądały na Wandę z ironizującą wyższością, niemal z pogardą.

Później „Ochra“ zagarniać zaczęła po kilkanaście naraz kobiet z inteligencji warszawskiej, najczęściej Bogu ducha winnych; czasem trafiały się wśród nich działaczki oświatowe, częściej pepeeski. Wtedy układał się stosunek o wiele przyjaźniejszy. Znano się niekiedy, choćby ze słyszenia, otaczano wzajemnie szacunkiem i sympatją. Łączyło wspólne hasło. Wreszcie r. 1905 i lata następne wyrzuciły całą falę pepeesek, esdeczek, bundzystek i jeszcze więcej nie należących do niczego, zaplątanych niesłusznie, wziętych przypadkowo na ulicy.

Wanda, mająca wtedy właśnie dostęp wszędzie, informowała aresztowane po raz pierwszy o wszelkich możliwościach miejscowych, pouczała nowicjuszek najważniejszych zasad mądrości więziennej. W wielu wypadkach opinia lekarza stanowiła o życiu lub śmierci, o odroczeniu rozprawy, o zatrzymaniu w Warszawie lub wysłaniu do którego z więzień rosyjskich i t. p. Lekarz zaś zostawał pod przemożną władzą felczarki. Jakoś się tam rozrachowywano po cichu, dzielono, czy splecano w innej monecie. Dość, że wystarczało zjednać sobie „panią felczerkę“. A do tej drogi znała Wanda. I nie złapano jej nigdy na żadnym przekroczeniu przepisów. Ze skutków tylko wnosić było można, że tą lub ową stroną korytarza przesunął się biały cień katorżanki. Wogóle całe więzienie było jedną mafją, jednym spiskiem ludzi, uzależnionych nawzajem wykroczeniami różnego gatunku. I tak było wszędzie, we wszystkich więzieniach, we wszystkich urzędach, we wszystkich instytucjach carstwa od Kalisza po Władywostok...

(c. d. n.)



HENRY BORDEAUX

FIOLETOWA GODZINA

NOWELA

Państwo Nouhans nie mogą zdecydować się na powrót do Paryża. Wciąż jeszcze bawią w posiadłości swej w Delfinacie. Pan poluje po całych dniach, a nawet czasem wyjeżdża na dzień lub dwa dla zabicia kozła w lasach de la Grande Chartreuse. Pani, która światową nie jest, korzysta z samotności, aby czytać, grać, aby chodzić do wioski, gdzie mieszkańcy ją znają. Niemniej samotność ta ciąży jej: mąż wciąż nieobecny, chłopcy w szkołach, gdzie przygotowują się jeden do Saint-Cyr (już, mój Boże! ona tak młodo wyszła za mąż), drugi do matury, pozostawiają jej aż nazbyt dużo czasu dla rozwoju jej życia wewnętrznego. Nazbyt dużo, gdyż z natury jest bardziej czynna niż sentymentalna i marzycielka.

Przyjmuje raz na tydzień, w sobotę, ale w końcu października, niemal w wilgę Wszystkich Świętych, wizyty są bardzo rzadkie: dziś zaledwo dwa lub trzy powozy przybyły i to wcześniej, z racji odległości. Jest niemal piąta i oto znowu jest sama w salonie swoim, którego olbrzymie okna wychodzą na park.

Poza trawnikami, gdzie klomby begonji tworzą plamę szkarłatną, aleja róż dzwiga swe ostatnie kwiaty te, które nie zostały uznane godnymi zdobienia waz salonu. A dalej rozciągają się pola, przecięte krzewami winorośli, złoto-zielonych i złoto czerwonych naprzemian, między którymi przechodzi w regularnych odstępach pług, zaprzężony w cztery woły, gdyż ziemia ciężka jest do poruszenia. Dalej nieco na krańcach horyzontu, widać górę, której stoki pokryte są krzakami rudemi, czarnymi świerkami — a szczyt stanowi naga skała. Ale wszystkie te ogniste barwy stapiają się i harmonizują; jedynie barwy begonji i winogrodu krwawią się na tle fioioletowem.

Pani Nouhans próbowała otworzyć książkę. Za ciemno jest, aby czytać. Zbliży się do weneckiego okna i patrzy. Ten wieczór jesienny, taki piękny, jakimi natchnął ją myślami, jakimi refleksjami nad sobą, nad swem życiem monotonnem i regularnem? Nie nawykła do poddawania się nastrojom przyrody. Zawsze potrafi być zajęta. A jednak teraz stoi; nieruchoma, oparta o szybę, prawie stopiona z tym wieczorem, który ją przenika.

Jakiś głos nagle ją budzi z zadumy.

— Zaledwo panią odnalazłem w tym półcieniu... Pani Nouhans wraca do rzeczywistości, ale wita niemal naturalnie swego najbliższego sąsiada, Michała Girardy'ego, którego żona jest jedną z jej przyjaciółek.

— Madzia nie przyszła z panem?

— Przyszedłem pieszo, przez lasy bukowy. Ona nie lubi chodzić, — a ja przepadam za przechadzką pieszą, zwłaszcza w tej porze roku, gdzie wszystko jest lekkie, powietrze, drzewa, które rzuciły swe zbyt ciężkie listowie, góry nawet, które nie mają jasnych konturów jak latem, szczególnie o tej godzinie, fioioletowej godzinie.

— Fioletowej.

— Ależ tak. Niech pani spojrzy: wszystko jest fioioletowe, od skały aż do ziemi zoranej. To nie jest nawet godzina, to może tylko kwadrans, podczas którego wszystko powleka się blaskiem i nagle noc zapada.

— Tak, noc zapadnie i dla nas także.

Nieco zdziwiony tą uwagą, gdyż zawsze widział panią Nouhans wesołą i zarazem spokojną, zbliżył się do niej i spytał niemal żartobliwie.

— Ho! ho! to bliskość dnia Zarusznego tak panią usposabia. O czym myślała pani w samotności, spoglądając w to okno?

— O rzeczy śmiesznej nieco i smutnej. Mam dziś czterdzieści lat.

— Dziś? —

— Tak, dziś. Mógłby pan protestować, niezbyt pan uprzejmy. Może przypuszczał pan, że mam je oddawna?

— O! jakże się pani myli! Czytałam nie pamiętam już gdzie, że Chateaubriand, będąc pewnego dnia w nastroju posępnym, odpowiedział damie, która go pytała o przyczynę melancholji: „Dziś skończyłem czterdzieści lat”. Tylko że skończył je przed kilku laty...

— Czyżby pan chciał powiedzieć...

— Zaraz, zaraz, proszę pani. Pani jest tak rozsądna, tak daleka od wszelkiej kokieterji, od chęci podobania się, że pani jest w stanie przyspieszyć fakta, powiedzieć dwa lub trzy lata wcześniej: mam czterdzieści lat, aby ludzi pozbawić chęci patrzenia na panią. Ale to nic nie pomoże: pani

jest młoda i pani jedna tego nie widzi.

— No, no, przerobił pan imperytynancję swoją na komplement! Ale lata to jak pieniądze: najuczciwsi nie dodają. Dobrze jest, gdy nie ujmują.

Przypuśćmy że pani je ma. Dlaczego to ma być smutne lub śmieszne, jeśli panią to w niczem nie zmienia? —

— Nie o tem myślałam.

— A o czym?

— Kiedy to nie łatwo opowiedzieć...

— Ja pani dopomogę.

— Otóż gdy pan wszedł, myślałam sobie. Dziś skończyłam czterdzieści lat...

— Jeszcze! Niech pani już da pokój, bo razem to będzie osmdziesiąt...

— Proszę mi nie przerywać, bo to jest niemal zwierzenie. Otóż mam czterdzieści lat...

— Wiem o tem —

— Byłam, zdaje mi się, dość... jednym słowem nie najbrzydszą... — Gdybyśmy nie byli starymi przyjaciółmi, skorygowałbym ten czas przeszły i te zastrzeżenia...

— Dziękuję. Otóż młodość moja umarła, a ja nie usłyszałam dotąd oświadczeń miłosnych...

— I cóż dziwnego? Nie byłaby ich pani wysłuchała.

— Do końca — nie. Ale ja nie wiem n wet, jak to się zaczyna...

— Gdy się już zacznie, to i kończy.

— Naprzykład na ulicy, nikt nie wie, kim się jest. A jednak nigdy mię nie zaczepiono. W salonie, nie zwracałam specjalnej uwagi. I to odosobnienie, które zazwyczaj było miłe, z którego byłam dumna, dziś jest dla mnie niemal okrutne w tę rocznicę. I to, co nazywam rzeczą zarazem śmieszna i smutną. Zapewne, jestem szczęśliwa i kocham męża. Lecz w dniu, gdy kobieta kończy czterdzieści lat, mąż powinien być przy niej.

— On nic o tem nie wie, biedny Kludjusz i poluje najspokojniej. Nie widział w pani zmiany. Zdziwiająca jest pani, najuczciwsza z kobiet.

— Proszę mię nie przygnębiać,

— To nie jest żadna zniewaga.

— Och ja nie o tem mówię.

W moim wieku, jest się ustalona na resztę dni swoich, i nie widzę, czemu rozczulam się niemądrze

nad sobą, gdy mam dwóch dużych chłopaków, którzy pochłaniają myśli moje. Przychodzę tylko do wniosku, że nietrudno być uczciwą. Wystarczy, gdy się na taką wygląda.

— To możliwe. Mężczyźni gonią za zdobycami wiecznej jednakiemi. Nie poszukują trudnych do oblegania twierdz. Ale niewiele kobiet posiada ten wygląd uczciwy. I takie są uwielbiane, jak przedmioty sztuki.

— Czy dla starożytności?

— Nie, dla ich rzadkości, a także dlatego, że się uczuwa wdzięczność dla nich za utrzymanie w świecie ducha szczerości i niewinności. To odosobnienie, na które się pani skarża — to najpiękniejszy hołd. Czy chce pani, abym z kolei uczynił pani zwierzenie?

— Oczywiście że kolej na pana: byłam tak niedorzeczna!

— Znamy się od jakichś lat piętnastu.

— Mniej więcej.

— Cieszyłem się, że pani jest przyjaciółką Madzi i przez to samo — trochę i moją, jak to bywa w dobrych małżeństwach. Myślałem, że już widziałem i oceniłem panią raz na zawsze, byłaś piękną, to była rzecz uznana — i pewna, rozsądna, prawa. Oczekiwano zawsze od ciebie najprostszych i najszlachetniejszych czynów. To wszystko uznawszy, z całą ufnością oddawałem się naszej zażyłości. Aż naraz,

pewnego dnia... będzie temu lat trzy, czy cztery może, pani, którą widziałem zawsze wesołą, dzielną, spokojną, wydała mi się — tak jak dziś wieczór — melancholijną i przygnębioną. Rozmawialiśmy mało, wstałem, zawałałem się, pani mię nie zatrzymywała — i odszedłem. Oto wszystko.

— To wszystko?

— No tak. Przez chwil kilka, przestała pani być tą śliczną istotą, nietkniętą, chronioną, której nadskakiwać — choćby trochę — wydawało się rzeczą niemożliwą. Byłaś kobietą bezbronną, wrażliwą jak wszystkie inne, może smutną, cierpiącą może. Lęk mię zdjął, nie przed panią, ale przed sobą samym — i odszedłem.

— Kpi pan sobie, pan najszybciej śliwszy z ludzi.

— Zapewne, jestem szczęśliwy, bardzo szczęśliwy. Ale przyzwyczajenie do szczęścia może prowadzić do namiętnego pragnienia zmian. Sercu potrzeba wrażeń. I przez jakiś czas — przestałem panią widywać.

— To było dlatego! —

— Zwolna wszystko wróciło do porządku. Czy pani były tak przejrzyste, byłaś zarazem tak daleką i tak bliską, że bardzo mi dopomogłaś do odnalezienia równowagi. Chwaliła się pani przed chwilą, że nigdy nie wysłuchiwała — oświadczyń. Oto są. Prawda, że sięgają w przeszłość.

Umilkli oboje. Noc zapadła tymczasem. Pani Nouhans, głosem przerażonym, łamie to milczenie, które przedłużając się, mogło się stać niepokojące.

— I wysłuchiwałaś do końca! Niech mię pan zostawi samą, proszę. Pomiędzy nami coś się zmieniło.

— Nie zmieniło się nic. Po cóż ukrywać prawdę!

— Pan nie może wiedzieć. Podczas gdy pan mówił, uczułam, że mogłam być, — och! nie teraz już — lecz dawniej, lat temu kilka, zanim nie wydzwoniła czterdziestka, nie być tak siebie pewną jak dziś. I wstyd mi trochę przed panem. Cóż to jest, mój Boże, gdy za pierwszym razem, tym jedynym razem — już się czuje swą słabość?

— Nie przestraszaj się, Matyldo...

— Pani...

— Och! przepraszam! Wystarczy przekreślić kontakt elektryczny i odnajdziesz spokój.

— Dlatego, że pan mię zobaczy. Czy istotnie jestem tak stara?

— Nie o to chodzi. Dlatego że pani jasno spojrzysz w siebie. Mieśliśmy, tak jak wszystko wokoło, naszą godzinę fioletową, Trwała tylko chwilę,

Pani Nouhans zapaliła światło i uśmiechnęła się spokojnym uśmiechem.

— Już minęła. *tłumaczyła M. D.*

DUCH WŚRÓD MATERJI*)

Nie z naukowego punktu widzenia chcę rozpatrywać książkę Stanisława Majewskiego. Niezależnie od swojej wartości „fachowej,” ma ona duże znaczenie dla ogółu inteligentnej publiczności, gdyż pobudza do myślenia, co się nie zawsze zdarza nawet bardzo cennym dziełom.

Praca Majewskiego obejmuje bardzo szeroki krąg kwestyj, pozornie luźno tylko związanych z bieżącym życiem — jednak, w dalszym rozwoju swej myśli, autor zbliża się coraz bardziej do zagadnień, obchodzących niemal każdą przeciętną jednostkę. Główną własność zaletą tej ciekawej książki jest ukazanie nam ścisłego związku pomiędzy przyrodą i t. zw. naukami ścisłymi, z jednej strony — a socjologią, historią i religią, z drugiej — pomiędzy tajemniczym ogromem

wszechświata, a naszą codzienną etyką i życiem społecznym. Jest to swoista próba syntezy filozoficznej — która pobudza czytelnika do rewizji własnego, często niedość głębokiego, światopoglądu.

Umysł ludzki, w swem nienasyconym poszukiwaniu prawdy, zbadał już ogromny świat zjawisk i prawa, nim rządzące — lecz musiał się zatrzymać u wrót dwóch nieskończoności: makrokosmosu i mikrokosmosu.

Albowiem najnowsze odkrycia naukowe rozdrobniły nawet atom, każąc nam w nim widzieć rodzaj malutkiego systemu planetarnego, w którym elektrony odgrywają rolę słońca i planet. Właściwa istota „materji,” zbudowanej w ten

sposób wyłącznie z nieważkich elektronów — oraz stosunek jej do pojęcia „ruchu” — pozostaje dotąd tajemnicą.

Wiemy jednak napewno, że małeńkie cząstki tej tajemniczej materji wykazują stałą tendencję do grupowania się w systemy, coraz bardziej skomplikowane. Elektrony tworzą atomy, atomy skupiają się w drobiny — te z kolei służą za materiał do budowy słońc, czyli ciał niebieskich — a z tych słońc powstają systemy planetarne, jako piąty już etap rozwoju świata nieorganicznego.

Nie koniec na tem: udoskonalone teleskopy wykryły, że systemy planetarne rozsiane są w niezmiernie przestroni wszechświata nie równomiernie, lecz w wyraźnych grupach, które nazwano „skupieniami gwiazd.” Jest to już

*) Stanisław Majewski — „Duch wśród materji” — Poznań, 1921 r.

szósty etap — czy ostatni, tego zapewne nie dowiemy się nigdy..

Tak więc materją nieożywioną rządzi prawo komplikacji — lecz ono stosuje się również i do świata organicznego.

Nauka nie wykryła dotąd właściwego początku „życia” — i nic nie przemawia za tem, jakoby martwa materja w pewnych warunkach mogła je zrodzić. Majewski przychyła się do ciekawej hipotezy, jakoby najmniejsze jakieś zarodniki były równie nieśmiertelnymi i pradawnymi, jak elektrony. Wedle tej teorii, zarodki owe byłyby przenoszone pomiędzy słońcami przez fale świetlne (bo kula o średnicy 0.00016 mm. już może być porwana przez światło!) i rozwijałyby się wszędzie tam, gdzie znajdują sprzyjające warunki. Byłby to więc pierwotny dualizm: jakby ducha (w zaczątkowej jego formie) i materji.

W każdym razie komórka nie jest już pierwszym, znanym nam, szczeblem życia: wiemy dziś, że istnieje niższy jeszcze: niezbadana dotąd bliżej „proto-komórka.” Komórki są materialem na organizm, jako 3-ci etap rozwojowy.

Organizm jest jakby społeczeństwem komórek, które „za dobrowolne zrezygnowanie z pewnych praw swobody otrzymały snąć wyraźnie życiowe korzyści, bo takie zrzeszenia szybko się rozmnażały, powiększały i wytwarzały coraz nową różnorodność istot skomplikowanych, utralających coraz ściślej swoją formę.”

Wśród organizmów odbywa się walka nietylko o byt, ale i o doskonałość, t. j. o to, który, z nich wytworzy najlepsze oparcie dla intelektu, najdogodniejsze jego narzędzie. Bardzo ciekawe są rozważania no temat tej rywalizacji gatunków na ziemi i różnych ich możliwości.

Autorowi wiele daje do myślenia inteligencja pszczoł i mrówek — ich życie społeczne, a nawet początki rolnictwa i hodowli (mszyce, kultura pewnych pleśni). Sądzi też, że owady mogły być wyprzedzić człowieka i objąć kierowniczą rolę na naszej planecie, gdyby nie jakiś nieznaną błąd rozwojowy, który spowodował widocznie ich cofnięcie.

Ale czło wiek, choćby najgenialniejszy nie stanowi jeszcze kresu rozwoju życia na ziemi. I tu zaczyna się właściwe pole śmiałych koncepcyj autora.

Twierdzi on mianowicie, że 4-ym etapem, wedle prawa komplikacji, wśród istot żywych jest — naród. Człowiek odgrywa w narodzie tę samą rolę, co komórka w organizmie — wszak i on otrzymuje

pewne życiowe korzyści za zrezygnowanie z części swych praw indywidualnych — a ze zrzeszeń, tą drogą zbudowanych, powstają nowe istoty, posiadające wybitne swoje cechy, swoją duszę. To tak, jakby z tych dobrowolnych ofiar jednostek tworzyła się nowa, potężna indywidualność zbiorowa.

„Trwanie w indywidualności i z pełnej swobodzie jest uosobieniem konserwatyzmu, zastoju i pierwotności.”

Co jest najpiękniejsze w tej książce, to owa dusza, owa istota odrębna każdego narodu, którą Majewski widzi i przedstawia tak jasno, jak gdyby szło o dotykálną osobę. Lecz nigdzie nie podnosi problemu tej „dotykálności” i „wizywalności,” jako wybitnej różnicy pomiędzy unją komórek, a unją dusz ludzkich w duszę społeczną. Pochodzi to zapewne z poczucia, że tajemnicze życie, utajone już w proto-komórce, a potem przejawiające się w instynkcie zwierząt — jest w gruncie rzeczy identyczne z wysoką sferą patriotyzmu — bo jest duchem in potentia..

Rozwojowi tego ducha potrzebne są zarówno instynkty egoistyczne, jak altruistyczne — pierwsze utrwalają i doskonalą pewne formy, „podkładają fundamenty” — drugie dają początek formom nowym, wyższym.

Że forma narodu wzbogaciła duszę ludzką, jako taką, tego dowodem może być olbrzymi postęp wiedzy i techniki, który się zaczął dokonywać dopiero od czasu zaistnienia pierwszej więzi społecznej. Ona bowiem wytworzyła „potężny duchowy prąd, płynący nieustannie pomiędzy wielką duszą narodu, a duszami składających się nań ludzi.”

To też, wedle tych pojęć, na naród składają się nie ci wszyscy, co mówią jednym językiem i korzystają ze zdobyczy wspólnej kultury — ale jedynie ci, o wiele mniej liczni, co odczuwają ideę swej zbiorowości i gotowi są dla niej na wszelkie poświęcenia.

Tak więc tylko patriotyzm jest tym czynnikiem, który podtrzymuje konstrukcję narodu i daje mu życie. Gdzie jego zabraknie, tam najwyższa nawet swoista kultura obróci się na pokarm dla innego narodu, stanowiąc dodatni grunt dla jego rozwoju.

Trudno na tem miejscu streścić wszystkie ciekawe wywody, o charakterach różnych narodów współczesnych i o kultach religijnych, które na ich dzieje wywierają wpływ ogromny. Można by postawić zarzut, że w tej właśnie części dzieła zaczyna się już pewna tendencyjność,

która zresztą zdaje się być jego grzechem pierworodnym..

Jako materiał do wniosków o żyjących narodach, porusza autor także dzieje umarłych: Egiptu, Assyrii, Rzymu — i określa przeciętny wiek narodu na 1½ — 5 tysięcy lat. Lecz one też podlegają chorobom, jak ludzie — przykładem takiej przedwczesnej śmierci jest Rzym, który stoczyła niezdrowa żądza egoistycznego panowania nad światem.

Chiny można uważać za wyjątkowy okaz zdrowego starca, który jednak nieuchronnie już zmierza do grobu — zaś stara jego rasa i kultura przyczyni się do szybszego wzrostu jakiejś nowej, zbiorowej duszy, lub kilku dusz.

Największą śmiertelność mają narody w wieku dziecięcym, t. j. barbarzyńskie, lub niedaleko jeszcze od tego stanu odbiegające — gdyż najbardziej asymilują się i „amalgamują” z innymi, silniejszymi od siebie. Lecz te, które los pozbawił zupełnie zaborczych sąsiadów, nie mają bodźca do kształcenia swej odrębności, trwają zbyt długo w dzieciństwie i potem barzo łatwo ulegają każdemu naciskowi z zewnątrz. Wbrew utartej opinji, że jednolitość narodu stanowi wielką jego siłę — Majewski stawia zasadę, że narody, pochodzące z „amalgamacji” szybciej dojrzewają i większą mają wartość.

A wartości narodów nie mierzy on tylko ich ekspansją i siłą fizyczną, ani nawet twórczością umysłową. Gdyż one stanowią w jego oczach nie cel sam w sobie, ale materiał na dalszy znów etap rozwoju ducha, na Ludzkość!

Ta ludzkość, to nie negacja patriotyzmu, ale jego rozszerzenie i uświęcenie. Ta ludzkość, to jedna olbrzymia dusza, tworząca się właśnie w naszych oczach z rozmaitych dusz narodowych — dusza, której wytyczną rozwojową stanowią muszą naczelną postulatą wszystkich religij: dobro, piękno i prawda.

Dla zbudowania jej, koniecznym jest u narodów instynkt altruistyczny — to też do budowy mogą przystąpić tylko te, które potrafią ten element ze siebie wydobyć. Jako skrajne przeciwieństwa, tak charakterystyczne dla wartości dusz narodowych, przytacza autor: niemieckie hasło „Deutschland über alles” — i polską starą ideę unji.

Te właśnie rysy predestynują Polskę na przodownicę przyszłej federacji ludów naszego globu — a Niemcy, niestety, na przyrodzonego wroga tej wielkiej idei.

Majewski nie ludzi się zresztą, aby ona prędko mogła być zrealizowana. Choć w wojnie światowej 1914 — 18 r. widzi pierwszy jej

znak—(jako odruch wspólnej obrony przed imperjalizmem niemieckim) — to jednak Ligę Narodów uważa za próbę dopiero, zaczątkową i niedołązną. Niemniej wierzy w narodziny i przyszłość Ludzkości, bo uważa ją za konieczność przyrodzoną, za ostatnie słowo prawa komplikacji, które na naszej planecie wypowiedziane być musi.

Wyobraża sobie, że narody, stworzywszy swą jedną, zbiorową duszę, nie roztopią się w niej — podobnie, jak jednostka nie przestaje być sobą, pomimo rozwiniętego w niej poczucia narodowego. Tylko patriotyzm w owej szczęśliwej epoce nie będzie już objawiał się w krwawych wojnach i podbojach, ale jedynie w spokojnej, szlachetnej rywalizacji na polu dalszych zdobyczy wiedzy i ducha.

Na ziemi może być tylko jedna Ludzkość — lecz kto wie, co się

dzieje na innych gwiazdach? Rozstrząsając to pytanie, na podstawie badań astronomicznych, dochodzimy do hipotezy, że na Marsie istnieje życie na wyższym poziomie, niż u nas.

I tu, choć nie zatrzymując się nad możliwością porozumienia z tamtymi światami, autor stawia nas znowu wobec makrokosmosu,



wobec nielicznych form ducha i nieskończoności jego rozwoju

Są to wszystko kwestje, nad którymi pomyśleć warto, choćby w ten sposób, jak się używa gimnastyki dla rozruszania krwi w żyłach. I warto także, choćby nie we wszystkim zgadzając się z autorem, powtórzyć cytowane przezeń słowa Benjamina Moore, profesora biochemji na uniwersytecie w Liverpool:

„Prawdziwa religja, pomijając dogmaty, jest najszczytniejszym wynikiem wiedzy o najwyższych zagadnieniach świata i sama w sobie nigdy nie może być w przeciwieństwie z naukami przyrodniczymi; ale gdy w ludzkich koncepcjach, czy to naukowych, czy religijnych jest pomyłka — to może, przez jakiś czas, wydawać się, że istnieje konflikt“.

Z. Zawiszanka

REFORMA GOSPODARSTWA DOMOWEGO

WIELKIE MAGAZYNY.

Podkreślaliśmy już parokrotnie na tem miejscu zdumiewającą wszechstronność Paryżanki, najpraktyczniejszej, a zarazem najszykowniejszej i najbardziej dbałej o swą powierzchowność kobiety na całym świecie. Skrzętna gospodyni, która nie wstydzi się zbiec z odkrytą głową i zgrabnym koszykiem w rękę do sąsiedniego sklepiku, która ukazuje się oczom sąsiadów ze ściereczką lub patelnią w rękę — przeistacza się po ukończonej pracy domowej w filuterną „amie“ biednego, ale zarówno z nią pełnego werwy artysty lub studenta (godną i dziś pióra Murgerów*) w dystygowaną damę, która dowcipnem słówkiem godzi różnorodne elementy swego „salonu“ literackiego; wreszcie nieraz w pełną swobody adwokatkę (zawód ten przyciąga liczne rzesze kobiet francuskich, tak z natury... wymownych), z gracją noszącą beret i togę, odwieczny strój tutejszej palestry. Zresztą i przy pracy nie zapomina Francuska o swej urodzie i wdziękach ładne czepeczki, rękawiczki, a przed wojną (zarówno pani, jak służąca)... gorset.

Ale kobieta francuska może spełniać tak rozmaite funkcje nie tylko dzięki swej inteligencji i pracow-

tości, ale i dzięki temu, że wszyscy (może z wyjątkiem „panów i władców“, bardzo tutaj wymagających, zwłaszcza w dziedzinie kulinarnej), zdają się dążyć do ułatwienia jej zadań i uprzyjemnienia pracy. Jeśli Paryżanka przyrządzić umie w przeciągu paru minut smaczne „menu“, zawdzięcza to inżynierom i kupcom kolonialnym. A jeśli z pod jej dłoni wylaniają się arcydziała gustu — przyczynia się do tego nie tylko jej subtelny smak, wyrobiony wiekami kultury, nie tylko gibkość rasy paluszków, której nie zdoła zniweczyć żadna praca — ale w równej mierze pomysłowość wytwórców i kupców francuskich, dających jej gotowe ćwierć i pół fabrykaty, jeśli

można użyć tych prozaicznych terminów na określenie obłoków gazy, złocistych frendzli, falistego jedwabiu. Ze wszech stron — z wielkich manufaktur i z warsztatów na poddaszu płynie do miast, do stolicy zwłaszcza, produkcja krajowa i zagraniczna. Rezerwoarem jej par excellence staje się coraz bardziej wielki magazyn.

* * *

Zapewne większość Czytelniczek zna wspaniałą utwór Zoli p. t. „Au Bouteur des Dames“, książkę, bardziej wartościową od niejednego traktatu ekonomicznego, która odzwierciadla zapasy drobnego handlu z polipem, wyciągającym coraz dalej i dalej swe potworne macki, by zrujnować setki egzystencji, lub ściągnąć je na swoją służbę, przekształcając niezależnych właścicieli w kółka ogromnego mechanizmu. To zjawisko t. zw. koncentracji jest jednym z charakterystycznych procesów, zachodzących w społeczeństwie obecnym; nie tu miejsce na omawianie dodatnich i ujemnych jego cech, niejednokrotnie, jak wiadomo, rozpatrywanych przez ekonomistów. Ale jakkolwiekby się sprawa przedstawiała z punktu widzenia struktury ludnościowej (a ocena zależy w tym wypadku w

*) 25 listopada całe to wesołe bractwo wyległo na ulicę w kokieterijnych czepeczkach by uczcić św. Katarzynę, patronkę „starych“ 25-letnich panien. Ulice rozbrzmiewały śpiewami i śmiechem; dobroduszną policja pobłażliwie tolerowała bardzo nieraz swawolne wybryki. Ulica francuska jest bowiem — jak niegdyś w demokratycznych Atenach — dalszym ciągiem domu dla obywatela i biada temu, kto by usiłował skępować swobodę jego ruchów, zwłaszcza w dni świąteczne. I wtedy to najdobitniej odczuwa się różnicę między tym pogodnym, mimo przejść lat ostatnich, narodem, a pokoleniem „zrodzonym w niewoli, okutem w powiciu“, które teraz jeszcze, gdy przysły okowy, zdaje się nosić na sobie smutne brzemie przeszłości.

dużej mierze od przekonań polityczno-społecznych), każdy bezstronny obserwator przyznać musi, że dla konsumenta czy jego bezpośredniego dostawcy (a więc, uwzględniając obie kategorie, zawsze prawie dla kobiety) — wielki magazyn jest prawdziwym dobrodziejstwem. Daje on gwarancję jakości towaru daleko większą, niż mały sklepik; z drugiej strony wszystko przemawia za tem, że wyznacza ceny niższe, a w każdym razie ostateczne. Jedną z jego wielkich zasług jest zniesienie zwyczaju „targowania się.“

Daleko posunięta specjalizacja, idąca równolegle z koncentracją, wytworzyła typ magazynów, które dostarczają pewnych towarów w wielkiej ilości odmian i gatunków, jak np. składy jedwabi, koronek, konfekcja damska. Chociaż te sklepy dają jak największą rękojmię dobrej jakości i rzetelnej ceny, nie omówię ich bliżej. Przedewszystkiem mamy w większych polskich miastach wiele zaszczytnie znanych firm tego rodzaju, następnie klientela ich składa się przeważnie ze sfer zamożnych, i którym nie zależy na czasie. A naszym zadaniem jest zbieranie informacji o wszelkich metodach, ułatwiających życie kobiecie, pracującej umysłowo lub fizycznie. „Sprawunki“ są zmorą każdej zajętej fachową pracą lub gospodarstwem osoby. I prawdziwym dobrodziejstwem są dla niej takie sklepy, jak „Bon Marché“, „Louvre“, „Galerie Lafayette“ i inne t. zw. „grands magasins“ odpowiadające niemieckim „Warenhäuser“. Ustrój ich najlepiej odpowiada wymogom nowoczesnej demokracji.

II

W chwili, gdy to piszę, widok wystaw przedświątecznych raduje oczy małych i dużych dzieci. Nigdy nie uwydatni się dość silnie roli, jaką odgrywa reklama w przemyśle i handlu Zachodniej Europy i Ameryki. Prowadzi ona nieraz do szkodliwych wyników, ale bez wahania należy jej coraz bardziej przyznawać jej kształcący wpływ na poczucie estetyczne mas. Chciałoby się przyprowadzić naszych „miliusińskich“ do „Louvre“ i pokazać im ścianę frontową, u ianę gwiazdami, na której tle psotliwe dzieciaki bawią się w piłkę; kolorowe kule wznoszą się i spadają z wysokości paru pięter. W „Galerii Lafayettes“ tłumy tłoczą się, by ujrzeć trio podwodne: wśród szmaragdowych fal zakapturzeni nurkowie doprawdy szukają pereł, doprawdy wyrrywają się z kleszczy

potwornej ośmiornicy. Sztab techników i malarzy współpracował, by nadać miastu odświeżony wygląd. I dzieci, biedne i bogate, uczą się bezinteresownie zachwycać pięknem, dostępnem dla wszystkich i dla nikogo.

Ale i w zwykłych czasach poświęca się wiele uwagi urządzeniom wystaw, które stanowi poważną gałąź sztuki stosowanej (w „Salonie Jesiennym“ poświęcono całą salę „ulicy miejskiej“). Że wspomnę tylko manekiny... Pewna Francuska spytała mnie niedawno, dlaczego u nas prześliczne nieraz suknie układają się na poźółkle, sztywne woskowe lale, od których zionie nuda i martwość. Drobiazgi to, a jednak przykro mi się zrobiło, bo świadczy o braku rzetelności i lekceważeniu publiczności przez większość naszych kupców. Paryskie manekiny — to wdzięczne Francuzeczki, naturalnie upozowane, najmocniej u fryzowane; zda się, że za chwilę ożyją i wybiegną z za witryny sklepowej; najskromniejsze tualety nabierają na nich szyku i raz jeszcze okazuje się, że wydatek na reklamę jest dowodem sprytu kupieckiego i dobrze zrozumianej oszczędności.

W wielkim magazynie można przeczytać gazety, posilić się, kupić bilety do teatru, można nabyć meble, urządzenia kuchenne, fortepiany, bieliznę, tualety. Ale doświadczona Paryżanka tylko w nagłych wypadkach udaje się tam po konfekcję damską (dostanie suknię i kostjumy na każdą miarę, co jest dużym udogodnieniem.). Wie, że tego rodzaju sprawunki nieraz taniej można załatwić w specjalnej firmie; odwiedza magazyn w celu pozyczenia drobnych zakupów n. p. dodatków do sukien, [szytych przez nią w domu.

Każda Czytelniczka tych słów przypomni sobie niechybnie, jak gorzko bywała ukarana za każdy pomysł twórczy, każdą próbę wyzwolenia się z pod tyranii krawcowej lub sklepu. Wystarczy powziąć rewolucyjną myśl sprawienia sobie sukni, przybranej tegoż koloru guzikami, wstążką... Przedsiębiorcza, dajmy na to, Warszawianka, udaje się na poszukiwania, w przeciagu tyłu dni, na ile jej starczy cierpliwości, przebiega ulice stołeczne, wstępując do wszystkich po kolei

*) „Bon Marche“ jest specjalnie sympatyczny dla społecznika, gdyż akcje tego przedsiębiorstwa, dzięki inicjatywie pani Boueicaud, która, jak się wyraził prof. Gide, dobrowolnie abdykowała, znajdują się obecnie w ręku 800 pracowników magazynu (na 3000). Jest to, nie doskonala coper wda, kooperatywa wytwórcza.

sklepów i odbywa za każdym razem długą ceremonję:

— Czem mogę pani służyć?

— Szukam aksamitu tej próbki.

Subjekt wyciąga szufladę ze wstążkami.

— Ależ to są aksamitki ponsove, a mnie trzeba amarantowej.

— Proszę pani dobrodziejki, upewniam panią, że ten kolor będzie doskonale pasował przy elektrycznym świetle... może zastąpić rypsovą wstążką? Bardzo modna...

Rozmowa kończy się w $\frac{9}{10}$ wypadków tem, że śmiertelnie zmęczona bezowocnymi poszukiwaniami klientka ulega namowom subjektu, kupuje dodatek innego gatunku lub odcieniu, a po powrocie do domu przykłada do materiału i... rzuca w głąb szafy na wieczne zapomnienie.

Równie często zdarza się, iż znajdzie się odpowiednią wstążkę ale kupiec ma ją tylko na jednej szerokości i na zapytanie, kiedy nadejdą inne, odpowiada flegmatycznie: „Kiedy się transport wyprzeda“... To też te Warszawianki, których nie stać na pierwszorzędną firmę, a los obdarzył na ich nieszczęście dobrym smakiem, zmuszone są nosić jak najprostsze, niczem nieprzybrane suknie, by uniknąć kakofonji barw i straty czasu.

Natomiast wielki magazyn grupuje ogromne bogactwo danych przedmiotów w jednym miejscu, nietylko dostarcza towarów, odpowiadających najwyszukańszemu pomysłom, ale rozbudza wyobraźnię i zdolność kombinacyjną.

(d. c. n.)

F. S



BOHATERSKA FRANCUSKA

Komitet Carnegie'go na swem ostatniem posiedzeniu przyznał nagrodę za bohaterski czyn pani Bertheillot, która z narażeniem własnego życia uratowała dwoje dzieci od śmierci w płomieniach.

W pewnym domu robotniczym w miasteczku Roubet wybuchł pożar. Dwoje dzieci, znajdujących się w zamkniętej izbie, wołało rozpaczliwie o ratunek, nikt z sąsiadów nie miał odwagi przyjść im z pomocą, gdyż płonący dach małej mansardy groził co chwila zawale-

niem. Przechodząca ulicą młoda kobieta, ujrawszy przerażone dzieci w oknie, nie wahała się ani chwili. Wbiegła do palącego się domu, silnym pchnięciem wyważyła drzwi, i porwawszy na ręce jedno z dzieci, zbiegła z niem na dół. Gdy wróciła po drugie, płomienie już objęły izdebkę i całą klatkę schodową—pomimo to, bohaterka Francuska zdążyła jeszcze zrzucić nawpół zduszone dymem dziecko w dół, na ręce czekających pod domem widzów, poczem sama zeskoczyła również ciężko potłuczoną i poparzoną odwieziono do szpitala, gdzie, pomimo troskliwej opieki lekarskiej, zmarła po kilkudniowych cierpieniach.

MĄDRA REFORMA

Zarzucają nam, kobietom, że jesteśmy zbyt... wielomówne. Że tracimy czas na próżnych rozmowach o treści bynajmniej nie wzniosłej, bo polegających na plotkach, obgadywaniu swych bliźnich, narzekaniach na służące i t. d. A jednak—żaden z „panów stworzenia“ (którzy, jak wiadomo, brzydzą się zbytnią gadatliwością oraz wszelkiem plotkarstwem) nie zdobył się dotychczas na wprowadzenie reformy, którą w St. Zjednoczonych zainicjowała kobieta.

P. Florence Knapp, nowomianowana sekretarka stanu Albany rozpoczęła swe urzędowanie od okólnika, nakazującego całemu personelowi wszystkich podległych jej biur—zachowanie bezwzględnej ciszy i nie trwonienie czasu na próżnej gadaninie.

Niektóre pisma nowojorskie, komentując to rozporządzenie, opatrują je złośliwymi uwagami pod adresem gadatliwości kobiecej, twierdząc, że ostrze tej reformy skierowane jest przeciwko personelowi kobiecemu, zajmującemu się jakoby bardziej plotkowaniem, niż wypełnianiem swych obowiązków. Każdy jednak, kto pracował w biurze, wie aż nadto dobrze, ile czasu marnuje i „pleć silna“ na pogadanki koleżeńskie przy „papierosiku“... Pan referent ma zwykle o wiele więcej czasu na „rozmówki“, niż maszynistka albo kancelistka, zavalona najczęściej robotą tak, że zaledwie jest w stanie odrobić ją w przeciągu normalnych godzin biurowych.

Niekoniecznie więc tylko przeciwko niewiastom zwraca się ta nowa reforma, dająca pole do tak uszczypliwych dla kobiet komentarzy. Albo też może tam, za oceanem—panują inne obyczaje? Z. B.

WYCHOWANIE FIZYCZNE I ŻYCIE SPORTOWE KOBIEC

WARSZAWSKI KLUB WIOŚLAREK

W miarę tego jak życie w naszym kraju powracało po wojnie pomału do swego normalnego trybu, Klub Wioślarek zaczął również bardziej systematyczną pracę, zwrócił swe dążenia w kierunku wytkniętym przez założycielkę; nie zapominając o celach społecznych, zajął się jednak głównie sportem, a raczej szerzej to ujmując wychowaniem fizycznym swoich członkiń.

Ciężkie jednak warunki finansowe, niestałość i ciągły spadek naszej waluty sprawiły, że Klub nie mógł się rozwinąć tak, jakby się tego było można spodziewać po zapale i energii jego członkiń.

Wszystko, co Wioślarki posiadają a więc przystań, tabor wioślarski i t. p. zawdzięczają własnym siłom. Nigdy nie otrzymywały żadnych subwencji Fundusze ich pochodzą wyłącznie ze składek członkowskich i zysków, zdobytych, urzędową dochodów niestałych przez dzającą najrozmaitsze imprezy dochodowe.

Obecny, ogólnie odczuwany brak gotówki pozwala mimo to zaledwie na podtrzymanie starej już i zmurszałej przystani i częściowe odnawianie łodzi.

Tem bardziej uderzające i budzące wiarę w dalszy rozwój Klubu są wyniki sportowe, osiągnięte w ostatnich czasach.

Działalność sportowa Wioślarek idzie równorzędnie w dwóch kierunkach, jeden to rozszerzanie umiejętności wiosłowania i pływania, wciągnięcie do stałego trenowania się nowo wstępujących członkiń, drugie to doskonalenie jak najwyższe sportsmenek, mogących być zawodniczkami.

Dla członkiń nieobeznanych jeszcze z łodzią są stałe lekcje, prowadzone przez kwalifikowane Wioślarki. Łodzie wydawane są jak we wszystkich klubach tylko tym osobom, które przy egzaminie wykazały dostateczną wprawę w wiosłowaniu, sterowaniu i pływaniu. To ostatnie jest niesłychanie ważne ze względu na możliwe wypadki.

Krzewieniem sportu pływackiego zajmuje się oddzielna sekcja pływacka, należąca do Polskiego Związku Pływackiego. Lekcje pływania daje stale zaangażowany przez Klub nauczyciel.

Na 300 członkiń liczy Klub 130 wiosłujących, a 89 pływających. Ta

ostatnia cyfra w stosunku do ilości wiosłujących jest nieproporcjonalnie niska.

W ubiegłym sezonie letnim przejechały Wioślarki w sumie pokazaną liczbę przeszło 20.000 km.

W sezonie tym odbyły też dużą ilość wycieczek kilkudniowych: do Bydgoszczy, Torunia, Kazimierza, Góry Kalwarji, Modlina, nad Pilicę do Warki i t. d.

Brały też jak zwykle udział w licznych zawodach wioślarskich: wszechpolskich w Bydgoszczy, międzyklubowych warszawskich i międzynarodowych akademickich. Rezultaty były doskonałe, wszędzie zdobyły pierwsze nagrody, nie licząc nagród honorowych. Występowały też w ogólnym „Święcie Wisły“ i regatach na korzyść Ligi Obrony Powietrznej.

Specjalnych trenerów Klub niestety nie posiada, dopomagają w trenowaniu osad uczynni panowie z W. T. W. i inni.

Na jesieni urządziły Wioślarki własne zawody wewnętrzne, był to przegląd młodych sił zapowiadających się bardzo obiecująco.

Życiem sportowem Klubu kieruje Komisja Sternicza, składająca się z 6-ciu sterniczek. Ona to urzęduje egzamin z wiosłowania i pływania, zbiera osady, dogląda treningów, opracowuje program sportowy na cały sezon, urzęduje zawody i wycieczki.

Ostatnie Walne Zgromadzenie dając wyraz dążeniom, istniejącym wśród ogółu Wioślarek, zatwierdziło pewne zmiany w Statucie. Wyszło mianowicie na pierwszy plan szersze zadania sportowe, nie same sporty wodne. Według nowego statutu, celem Klubu jest więc krzewienie kultury sportowej, uprawianie i propagowanie wszelkich sportów, w szczególności naturalnie wiosłarstwa.

Drugą ważną i bardzo korzystną zmianą jest wprowadzenie kategorii członkiń uczestniczek, mają to być dziewczęta od 16 do 18 lat, które nie mogą być jeszcze zwyczajnymi członkiniami, chcą się już do sportu zaprawiać. Wprowadzenie tego rodzaju wioślarek jest bardzo pożądane, gdyż faktycznie młodsze dziewczęta nie mają miejsca w Warszawie, gdzieby się mogły nauczyć pływać, a tem bardziej wiosłować.

Wielką niedogodnością dla Klubu jest brak własnego lokalu zimowego, gdzie mogłaby się zmieścić biblioteka i czytelnia, przy którym byłaby sala gimnastyczna i do zebrań. Tamuje to ogromnie rozwój życia towarzyskiego i sportowego w sezonie zimowym.

Gimnastykę uprawiają Wioślarki w sali wynajętej.

Mimo tych wszystkich trudności, widząc jak pogodnie i śmiało przetrwały najkrytyczniejsze lata wojny i ciężki okres stabilizacji, ani na chwilę wątpić nie można, że gromadzić będą coraz liczniejsze rzesze kobiet współdziałając w ten sposób doniośle w wielkiej sprawie odrodzenia fizycznego narodu.

I. Fabrycowa

NASZE NARCIARKI

Stadjon w atrykuie „Nasi Zawodnicy Narciarze“ daje również charakterystykę pań narciarek. Na podstawie tych danych wytworzyć sobie można ciekawy obraz rozwoju narciarstwa kobiecego u nas.

Uderza, że kilka zaledwie z wymienionych pań oddaje się temu sportowi poważnie od kilku lat. I tak p. Ela Ziętkiewiczowa od dziewięciu lat bierze udział w zawodach, osiągając liczne nagrody w kraju i zagranicą. Ona to jest bezsprzecznie pierwszą polską narciarką!

Panie Dubieńska, Snelowa i Paniewiczowa również od dłuższego już czasu należą do najwybitniejszych narciarek.

Więcej zawodniczek przybywa dopiero w ostatnich latach, a nawet ściślej w ostatnim roku.

Wybijają się przy zawodach w Krynicy w ostatnim sezonie p. Ochotnicka, Gwizdatówna, Borkowska, Czarnocka, Segedówna, Popielska i Popielówna.

Wszystkie z wymienionych pań nie tylko na polu narciarstwa są wybitnymi sportsmenkami, widzimy między nimi nazwiska znanych wioślarek, pływaczek, lekkoatletek i t. p.

Autor artykułu zwraca uwagę, że należy zaprowadzić i dla pań przy zawodach dwie klasy zawodniczek. W pierwszej startowałyby te, które osiągnęły już kiedyś 1-sze nagrody, w drugiej klasie, po usunięciu tych najgroźniejszych rywalek, śmielejby stanęły pozostałe, liczba ich mogłaby dojść do 20 tu.

Niestety, fatalna, bezśnieżna zima nie pozwala nam, jak dotąd, sprawdzić słuszności tych przypuszczeń i wielkich nadziei pokładać w naszych narciarkach.

SZTUKI PLASTYCZNE

KARYKATURA POLSKA W KAMIENICY BARYCZKÓW.

(Parę słów o innych wystawach)

Karykatura polska jest pogodna, pomimo, że rodzaj ten tak blisko sąsiaduje z satyrą. Pokrewna jest z drugiej strony

obrazowi rodzajowemu, w który nieznacznie sływa u artystów o małym temperamencie i obserwacji, nie umiejącej nastrojać się w kierunku przesady.

Karykatura bowiem rodzi się z wyolbrzymienia lub pomniejszenia rzeczywistości, co w obu wypadkach równa się oddalaniu od niej.

Karykaturzysta jest realistą, szczególnie wrażliwym na znamiona typowości, na lekkie, nawet najlżejsze napomknienie o niej. Pochwywszy rys, stanowiący o odrębności twarzy, lub postaci, wydobywa go z gmatwaniny całości i podnosi do znaczenia pointe'y (akcentu) dla danego człowieka, czy sytuacji. Patrzący, ulegając sugestji, widzi rzeczywistość wykoszlawioną przez artystę i odczuwa jej komizm.

Komizm karykatury może wpływać z ujęcia sytuacji w sposób przesadzony i podkreślający jej odbieganie od przeciętnej, normalnej, codziennej formy, nieruchomej niejako.

Tego rodzaju obrazki dawał Kostrzewski, pogodny, dobrotliwy obserwator, znany wszystkim, którzy przeglądali dawne roczniki „Kolców.“

Takim jest Jul. Kossak, Andriolli i inni karykaturzyści z trzeciego ćwierćwiecza XIX wieku.

Stosunek ich do przedmiotu jest żartobliwy i dowcipny, dźwięczy w tem śmiech, przegląda trafna obserwacja, skłaniająca się lekko ku grotesce, lecz nie odczuwamy, by artystę coś oburzało, lub drażniło do głębi, — niema tu jeszcze żadnej rozprawy, żadnego „porachunku“ ze światem.

W zamiarach karykatury jednak leży nie tylko uwydatnianie śmieszności świata, — nie tylko rejestrowanie typowości (jak to czyni Piwarski: 1794—1859 r.), lub wyszukiwanie piętna, które kładzie na człowieka zawód, szkoła, narodowość, rasa (z tego zamierzenia zrodziły się znane już z poprzednich wystaw karykatury wojskowe K. Mackiewicz, dające szereg świetnych typów, jakie wytworzyła w wojsku trójzaborowość i okazy rodzime, powstałe już po 1914 r., oficerów legjonowych. Do tego również rodzaju zaliczam Grabowskiego karykatury belwederczyków, bardzo interesujące pod względem technicznego wykonania, użytkujące specjalnie typowość gestu. Tu przede wszystkim należy szereg dyskretnie skarykaturowanych osób z początku XIX w. Jakóba Sokołowskiego: 1780—1857 r., — niezmiernie cenny zbiór historycznych postaci, które zapewne już niejednokrotnie służyły i posłużą w przyszłości za wzory do stylowej polskiej komedji z tamtych czasów), — nie to tylko jest celem i natchnieniem karykaturzysty.

Przypuszczam, że niekiedy twarz ludzka zaczyna go fascynować i hipnotyzować w taki sposób, że na miejsce przeciętnej widzenia jej jako całości — pojawia się jasnowidzące dostrzeżenie tego, co jest dominujące, a często utajone w głowie portretowanej. Artysta wyzwała szczegół, stanowiący o zasadniczym wyrazie, pozostawiając inne w cieniu lub wzrokowej domyślności widza. Rzeczywistość zostaje

przy tem pogwałcona, lecz triumfuje wyraz, intencja artysty, jego wola i sugestja. Wola ta może zwracać się ku komizmowi; częściej jednak nastawiona jest na mocną jednostronną obserwację, żądną ujrzenia dziwactwa, koszlawości i goniącą za uchwyceniem indywidualnego wyrazu, tego, który wyróżnia wybitnie, niezapomnianie i niezawodnie daną jednostkę od innych.

Z takich intencji rodzą się karykatury-portrety Głowackiego i Jotesa. Pierwszy, używając często techniki kubistycznej, wydobywa cechy indywidualne, akcentując je z zacięciem; wyzwała on jakgdyby psychiczne oblicze człowieka. W sangwiną wykonanym portrecie — karykaturze Piłsudskiego przesadnie wysunięta szczeka dolna podkreśla wolę, olbrzymie, wzniesione brwi i wąsy po kozacku zwisające stanowią o karykaturalnej szarzy — całość jednak jest lepsza od niejednego spokojnie — realistycznego portretu Komendanta.

Jotes zdobywa uwagę widza jakimś jednym szczegółem. Środki jego są jeszcze prostsze, niż u Głowackiego: kilka kresek i kółek, parę linii prostych — i oto głowa człowieka — o nią bowiem mu głównie idzie.

To, że karykatura często przeistacza się w satyrę, że staje się biczem, którego świst słyszemy, wynika stąd, iż za temat nigdy niewyczerpujący się, służy jej człowiek. Zwierzę i roślinę w sposób „komiczny“ widzimy bardzo rzadko, chyba że używamy ich jako alegorii, lub symbolu. Natomiast światek ludzki jest dla światka karykaturzystów nieprzebraną skarbnicą. To też karykatura rzadko jest wolna od tendencji i zawsze spod fałdów jej płaszcza wyziera punkt widzenia społeczny, moralizatorski, lub głęboko osobisty sprzeciw artysty wobec tego, co jest było i będzie.

Karykaturę rodzi ból i rozpacz, — stąd może być gwałtowna, ostra, szydząca głośno, — niekiedy bywa głęboko smutna, lecz wówczas stoi już na granicy.

Szyderczym jest w karykaturach swych Norwid, który z całego serca nienawidzi szlachetczyzny, wielkopańskiej zarozumiałości i pyszałkowatości, słowem tego, co by się dziś nazwało filisterstwem we wszelkiej postaci. Karykatury jego, wykonane piórem, — z szalonym rozmachem, proste, zaznaczone zarysem tylko, mają ostrość, zgrzyt i są wyrazem gorzkiego i krytycznego stosunku artysty do ciemnoty współczesnych (Malarstwo. Architektura. Lektura).

Smutek, melancholja i beznadziejność żyją w wątlých, pajęczych figurynkach Wojtkiewicz, w wielkich, łzawych oczach tych ludków — lalek rachitycznych, samotnych, chorych i jak gdyby z ciemnej mgły utkanych, które są powtarzającym się tematem jego obrazków. Tragiczne kukły były tą formą karykatury, w jakiej odczuwał świat Wojtkiewicz, nie mogąc się z nim żyć, ani się weń wżyć, ni dopasować. Wszystkie znane mi obrazy Wojtkiewicza stoją na granicy, sąsiadującej z karykaturą — lecz jest to żałość i liryka czysta — mówi przez nie najbardziej osobisty, naj-

głębszy stosunek do świata boleśnie obrażonego i samotnego poety.

Aleksander Orłowski (1777 — 1832), ten wielki, nigdy nieprzestarzały artysta, na którego obrazy patrząc, doznaje się wrażenia, że dziś powstały, posiada rubensowski rozmach, swobodę mistrza, śmiałość człowieka, który czuje się sobą i panem, i genialny rzut ołówka. Jest obserwatorem i kpiarzem, widzi trafnie i nielitościwie, lecz nie martwi się światem; odtwarza go, karykaturując obiektywnie, bez morału i rozpaczy, z radością życia raczej.

Urodzonym wesołym karykaturzystą jest Szygell, który nawet przedmioty widzi komicznie; nawet krajobraz, zaopatrzony w akcesorja ludzkie, staje się u niego zabawnym (ulica o zmierzchu, w ogrodzie Ujazdowskim i t. d.); artysta ten nie umie patrzeć na świat bez uśmiechu.

Ludzie, obojętni na obrazy, częstokroć jednak lubią karykaturę. Lubią ją zapewne za to, że jest sztuką ręki — w dosłownym i przenośnym znaczeniu. Karykaturzysta w ten czy inny sposób daje ruch. Gest jest jednym z elementów śmiechu, komizmu, wyrazu. Ruch całego ciała, twarzy, oczu, ust, — przedmioty w ruchu — mogą stać się czynnikami, potęgującym paradoksalność zjawiska, o którą tu chodzi (Sichulski). Karykatura poza tem posiada ruch wewnątrz: wciąga, sugeruje, uderza, dziwi, trzyma patrzącego w stanie zbudzenia i napięcia, drażni jakieś uczucia, irytuje i podnieca. Jest protestem; traktuje świat jako pomyłony i niedociągnięty.

Lubią ją sceptycy, ludzie podejrzliwi i krytyczni, natury obrażone małostkowością i mieszczańskością świata, nieufne i doświadczone. Karykatura prześwieśla człowieka, jak promienie X.

* * *

Na wystawie obecnej, bogatej i pięknej, dużo miejsca pozostawiono retrospekcji. Zaczynamy od Smokowskiego (1797—1850), Piwarskiego, Orłowskiego i innych, przez Andriollego, Kossaka, Norwida, Kostrzewskiego przechodzimy do współczesnych kończąc na Stryjeńskiej i Sichulskim.

Stryjeńskiej — dwa tylko — obrazki są wzorem lekkości i powiewności („przejażdżka”), oraz pięknej techniki w dawaniu zespołów w ruchu („przyjęcie”). Karykatury jej są wdzięczne i poetyczne. Szkoda, że nie pokazano tu ponownie „Sakramentów,” o ujęciu bardziej ostrem i ponurem.

Sichulski, dając w przepysznym cyklu obrazów, portrety pisarzy, poetów, działaczy współczesnych, dopomaga sobie świetnymi szczegółami i akcesorjami symbolicznymi. Jest pełen smaku. Karykatury jego czarują kolorem i charakterystyką. Wolny od moralizatorstwa, przedewszystkiem malarz, dowcipu pełną obserwacją wydobywa cechy indywidualne, związane z zawodem, upodobaniami, a wreszcie nawet tajonami marzeniami swych delikwentów.

Niezmiernie interesujący jest zbiór karykatur, pochodzący z cukierni Michalika; są tu obrazki Wyspiańskiego, Szczyglińskiego, Frycza i wesołe projekty restauracji Wawelu.

* * *

Karykatura polska jest naogół pogodna i jowialna. Zbyt pogodna w stosunku do materiału, jakiego jej dostarczało życie polskie w ciągu ostatnich paru stuleci. Zbyt pobłażliwa i beztraska.

Pomimo knebla cenzury i niewoli politycznej, naród o głębszej przekorze ducha i mniej tanecznym temperamencie, zdobyłby się być na gorzki symbol, na karykaturę ponurej groteski swego życia społecznego i indywidualnego.

Są czasy, sprzyjające rozwojowi karykatury. Czasy wojen, walki, intensywnego burzenia i budowania. Te czasy nawet u nas wydały najlepszą karykaturę: epoka Księstwa Warsz. i Król. Kongresowego, — Sokołowski, Orłowski; ostatnie piętnastolecie: Sichulskiego i karykaturzystów wojskowych i politycznych.

* * *

Nie mogę zamknąć tego artykułu bez wzmianki o wystawie szkiców architektonicznych z podróży po Europie, jakie w grudniu zgromadzono w Politechnice. Wystawa ta daje świadectwo, że na wydziale architektury powstaje i doskonalą się bardzo liczny zastęp wybitnych, oryginalnych, twórczych talentów, które w niedalekiej już przyszłości zaczynają budować Polskę.

W okresie przedświątecznym artyści, stojący poza Zachętą, dali dwie wystawy: „Salon doroczny” na Siennej i wystawę w Polonji. Na pierwszą nadesłali prace Mehoffer, Jarocki, Weiss, Filipkiewicz, Boruciński, których nazwiska mówią dość o wartości tych prac — z nowych, młodych b. ciekawi są: Kanelba, Jabłoński, Węgierkowa; w Polonji dali się poznać Makowski, Żarnowerówna, Szczuka, Cieślewski Tad. i inni.

N. Samotybowa

Z KSIĄŻEK

„Różowa magja” — Poezje — *Marja z Kossaków Pawłkowska*. Nakładem księgarni H. Altenberga we Lwowie, 1924 r., str. 46.

Jest poezja, która płynie z serca, jest taka, co wychodzi z duszy i opiera się o wieczność, jest taka, co karmi się kwasnymi jagodami wyobraźni. Pod którą kategorię podciągnąć mamy „Różową magję”? Sam tytuł nasuwa myśl o czarodziejstwie, reminiscencje „czarnej i białej magji” średniowiecza, reminiscencje zresztą tak dalekie, jak daleką jest różowa pałeczka dobrej wróżki od retorty groźnego czarnoksiężnika.

Świat „Różowej magji” to rzeczywistość, załamana w pryzmacie marzenia i rzucona na ekran kaprysu, kaprysu tak bardzo ko-

biecego, że nawet „Bóg pytaniem urzeczony zwleka z odpowiedzią.”

Piękna pani przychodzi do stołecznego magazynu po drobiazgi. „Usłużny i zwinny subjekt — żywo zrzuca jej na opalizującą taflę świata, jak na płytę kontuaru, tęczowe próbki materji perskich, chińskich, tureckich, japońskich. Czasem zabłąka się między nimi jakiś szal po prababce, modra przepaska kanwy, zielony fraczek Filona.

Piękna pani zanurza ręce w jedwabie — przegląda się w atlasach, owija się we wstęgi jak Colombina. Po jej ciele przebiegają słodkie, tajemnicze dreszcze. Cały świat streszcza się w tych skarbach materji. Nawet morze „jest podobne sukni pstryj, grodenapłowej, o falbankach śnieżystych, musujących brzegiem.” Słońce jest „złocistym kapeluszem,” oczy są „atłasowe,” „leszczyna się, stroi w fioletową morę,” a lipa w atlas zielony najgładszy babcia jest jak „czarna plama na tęczowym świecie kilimie,” heljotrop, zadumany w grzędzie, pokropiony jak wstążki liljowe,” Madame Butterfly umiera „splątana w suknię z nieba, brzoskwiń i księżycy,” a śmierć jej to „Wielki Wachlarz czarny i złowrogi,” „zmierech z nocnym mrokiem zaplatają matę, matę szeroką, płócienną, półjasną,” a bywają chwile, gdy nawet słowa są drzące, wdzięczne, niepotrzebne, śmieszne, jak koronki i wstążki na precudnym akcie.”

Motyw tkaniny, tkaniny barwnej, ruchliwej, plastycznej, dotykanej, wypływa ciągle na falach melodji w „Różowej Magji;” poetka operuje nim umiejętnie a zarazem tak wdzięcznie i kapryśnie, jak tylko kobieta umie bawić się swemi gałgankami. Do szczytu mistrzostwa w igranym zestawieniami tkacko-sukniewymi doszła Pawłkowska w „Dywanie Perskim.”

Posługuje się tu metodą odwrotną: zamiast przenoszenia cech swoistych tkaniny na objawy życia i natury dała personifikację deseni, wijących się na pstrym, płaskim kobiercu.

Te psychologiczne konflikty, zatargi i przymierza kwadratów, krzyżyków, gwiazd i trójkątów są niesłychanie pomysłowe, kobiece i miłe. Widać, że wyszły z pod ręki niepospolitej hafciarki, która umie dziergać pomysł słowami i z całą swobodą igra i materialem i narzędziem.

Ale to są wszystko przecież cudne „gałganki!” Nie mogą one wystarczyć na długo ani poetce, ani czytelnikowi. Opadną też rychło w zetknięciu ...z niebem... „Niebianki, śpiewające w szczęściu niewesołym, nie macie parasolek ani kapeluszy!... Gdzie wasze wstążki, pióra, charmeusy, woale? Spadły z drzewa wieczności, jak płatki pachnące.” „Archanioł biały, obcy najśłodszej kobiecie da wam z czasem nimb złoty zamiast kapelusza.” Dziwne smutne byłoby to niebo obdarte z wszystkich uroków stroju i mody, gdyby... gdyby archanioł biały nie był tak bardzo podobny do „porucznika marynarki...” Figlarny uśmiech

NASIONA OGRODOWE

kobięcy kapryśnie wygiął znów linję, już już potracającą o patos.

Pani „Różowej magii“ jest bardzo współczesna, bardzo dzisiejsza. Nurza się z upodobaniem w zmiennych, jak szpampan perłających się falach chwili obecnej. Lubi operę, kocha film, rozumie duszę telefonu, tajemniczą duszę siuchawki hebanowej, tej „trąbki pełnej milczenia i szeptów z swym aniołem stróżem.“

Papieros jest towarzyszem nierozłącznym, a uwspółcześnianie zjawisk kosmicznych idzie tak daleko, że nawet Bóg ją częstuje „mocnym papierosem z gwiaździstej, czarno złotej swej papierośnicy“

Ale i to nie wystarcza; bowiem współczesność jest jak woda zmaczona: można się w niej pławić, można się nią upoić. — przejrzeć się w niej niepodobna. Po to zwierciadło dla swej duszy Narcyzowej pójdzie poetka w świat romantyzmu, w świat Filona i Laury, którzy przyszli w proch się rozspać (płascy, jak kwiat w książce) pod umówionym, sinym, szumiącym jaworem, w świat zamków na lodzie, fantastyczny, rzekomego Wschodu („Poco jechać do Turcji, do dalekiej Turcji?“) w świat słowików i madrygałów, pachnący już nie oryganem, ale lorendogrą i paczulą.

Dusza twórcza musi wrocić do swego źródła; wnuczka Kossaka pomimo rytmu współczesności, jakim biją jej pulsa, ma pietyzm dla antyku, a pod gazą lekkiej ironji ukrywa kokieteryjnie, jak Turczynka pod obłokiem czarczafu, kult dla „serc, niepodobnych żadnemu innemu,“ dla tego „co się nie da powiedzieć, co nigdy powiedziane nie będzie,“ dla wszystkiego, co „skazane na śmierć — niewiadomo za co?“

Tak powstał „Dziadzio,“ stylowy, rozczulający dagerotyp, Dziadzio, który strząsał jedwabny popiół w popielniczkę starą.. „ślad ołówka wycierał kawałkami chleba, a po kobalt przez okno sięgał aż do nieba.“

Tak powstał „Lenartowicz,“ uroczą parafraza niezastąpionego „Złotego kubka,“ transpozycja uczuciowa ogranego motywu na rzut programu neoromantycznego. „Złotniczeńku ty na niebie, chcę pić życie, nie mam z czego... Dla miłości, dla tęsknoty uczyni kubek, Złotniczeńku.“

Miłość... tęsknota... dwa słupy graniczne romantyzmu. A między nimi szalejący tabun: pragnienie pełni życia, w której człowiek wypowiada się bez reszty. „Dziś się żyje — jutro się umiera, ale żyje się siłą stu koni!“

A nad tem wszystkim, niby lekka chmura byronizmu rozpięta świadomość sił zmarnowanych, marzeń młodości nieziszczonych:

— „Nerwy twoje, mięśnie twoje mogły więcej, — człowieku, qu'as-tu fait de ta jeunesse?“

Coś się w duszy śmieje, a coś płacze i szepcze, patrząc tęsknie z ukrycia: Drugi raz — od początku inaczej — może uda się piękny film życia...

Stefanja Podborska-Okolów

Jakie ziarno — taki plon! Mądrość narodów, zawarta w przysłowiach, znajduje tu wybitne potwierdzenie, bo dobroć nasienia wywiera, jeśli nie decydujący, to jednak bardzo wydatny wpływ na wyniki uprawy. Słusznie więc będzie, jeśli zastanowimy się nad sprawą nasion w porze, gdy trzeba zaopatrzyć się w nie na nową kampanję.

Zasadnicze cechy rośliny są zawarte w ziarnku nasiennym. Więc nietylko to, czy wyrośnie z niego sałata, czy wonna lewkonja, nietylko zabarwienie liści (żółte, z elone lub pstre), albo kwiatu, ale i inne zalety, które stanowią o wartości rośliny. Więc np. czy sałata będzie długo trwała w postaci główki, czy też rychło wybieje w nasienie; czy kwiat lewkonji będzie pełny, czy pojedynczy, ułożony w kiście zwarte, czy z rzadka tylko rozmieszczone na lodydze.

Cechy wyżej wspomniane, i różne inne, są dziedziczne. Ale w roślinach mączeknych zostały one wytworzone bądź drogą przypadku, bądź drogą świadomych celów, wytrwałych zabiegów hodowców ród szeregiem pokoleń danej rośliny. Sztucznie wytwarzane cechy z biegiem lat ulegają utwaleniu, ale natura nie poddaje się łatwo i choć zwyciężona — stara się odzyskać swoje prawa. Więc, wśród sałat żółtych, zawsze wyskoczą osobniki o twardych, gorzkawych liściach zielonych; wśród ścisłych główek — parę roślin zawsze przedwcześnie wystrzeli w nasienie; wśród pełnych lewkonij znajdują się zawsze kiście kwiatów pojedynczych, a wśród czysto białych — jaskrawo rzucają się w oczy inaczej zabarwione.

Jest to wyrażanie się roślin, dążenie ich do powrotu do stanu pierwotnego; jest to ujawnianie się cech słumionych, ukrytych, które jednak tkwią w roślinie, jak krew murzyńska przy skrzyżowaniu ras, występująca nagle w dziesiątym pokoleniu białem, w postaci ciemniejszej cery, kędzierzawych włosów lub warg grubych, wywiniętych.

Zasady takiej degeneracji u roślin zostały opracowane naukowcy; ilość osobników, wykazujących po skrzyżowaniu, cechy ojca, matki lub nowe, albo pośrednie, została ujęta w ścisłe liczby przez zakonnik Grzegorza Mendla (przeora OO Augustynów w Bernie Morawskim, ur. 1822 † 1884 r.); prawo to, na jego cześć zwie się mendelizmem, a badania uczonego przeora położyły podwaliny pod nową dziedzinę nauki o wytwarzaniu odmian — zwaną genetyką. Jej zawdzięczają hodowcy nowych odmian, że już nie potrzebują iść po omacku i trawić lat na błędzenie, lecz opierają się na przesłankach naukowych i krzyżując rośliny, wydobywają na jaw utajone zalety, świadomie potęgują cechy słabe a pożądane, i w ten sposób szybciej dochodzą do wytkniętego celu.

Szanowne Czytelniczki raczą darować mi odbiegnięcie od głównego tematu, ale te parę słów o mendelizmie pozwoli nam lepiej zrozumieć przyczyny degeneracji, ujawniającej się przeważnie w plonie najlepszych nasion, a groźnej w skutkach swoich, przy korzystaniu z nasion gorszych, lub często nieumiejętnie wytwarzanych we własnym ogrodzie.

Kto zna zasadę mendelizmu i prawo o wyrażaniu się — będzie łagodniej ferował wyroli na niezawsze winnych hodowców i składników nasion, często potępianych w czambuł za niesumienność i inne, sroższe jeszcze przewinienia, przy ujawnieniu nieunikniowych, choć sporadycznych odskoków roślin od typu, wymalowanego na torebecie.

Często niewinnych — ale nie zawsze.

Niewinnych, gdy w braku nasion własnej produkcji lub z plantacji, pozostającej pod kon rolą zakładu, sprowadzają nasiona z pierwszorzędných źródeł zagranicznych. Niewinni, gdy importują od renomowanych hodowców nasiona, których w kraju niema wcale lub mniej niż potrzeba.

Ale są winni, wtedy gdy dla taniości czerpią ze źródeł drugorzędnych, gdy własne plantacje prowadzą niedbale, albo nie kontrolują należycie terenów zakontraktowanych.

Utrzymanie nasienia w czystości wymaga dużo uwagi, wiedzy, doświadczenia i bardzo sumiennego spełniania pracy. Trzeba znać dokładnie typ wzorowy danej odmiany i bez miłosierdzia usuwać wszystkie rośliny, wykazujące choćby drobne odchylenia. Trzeba dbać, żeby w bliskości nie było roślin poirewnych, nawet z pośród dziko rosnących, bo pyłek ich może wytworzyć niepożądaną krzyżówkę (np rzodkiewka szlachetna i rzodkiew dzika, chwast pospolity). Obcozapylenie, zwłaszcza przy udziale pszczoł, może się odbywać na odległość kilku km. (burak ćwikłowy i pastewny lub cukrowy), podczas gdy w innych wypadkach wystarczy przegrodzenie grzęd zwartym szeregiem roślin wysokich. Przy dwuletnich (marchew, buraki, pietruszka, kapusta i inne), trzeba umiejętnie i sumiennie przebrać korzenie lub rośliny mączeczne, zważając na kształt, barwę, grubość rdzenia, budowę liścia, a często poddając wycinki analizie chemicznej. A po wysadzeniu wiosną do gruntu przed kwitnieniem odbywa się jeszcze jedna selekcja.

Szkód, wynikłych z niedopatrzania kóregokolwiek z przytoczonych dla przykładu szczegółów, w nasieniu otrzymanem, stwierdzić nie będziemy mogli. Wystąpią one dopiero w roślinach z tego nasienia wytworzonych w roku następnym. Gdy bez należytego krytycyzmu z nich znowu zbierzemy nasienie — degeneracja pójdzie w tempie przyspieszonym. odsetek roślin, odbiegających od typu, wzrośnie znacznie wywołując straty, a conajmniej niezadowolenie nabywcy.

Dlatego niezawsze nasienie własne jest najlepsze, najpewniejsze. Dlatego nie oplaća się kupowanie nasion tanich od

przekupniów lub w podrzędnych składach. Dlatego uzasadniona jest nieufność, okazywana przez składników, przy nabywaniu nasion od przygodnych dostawców. Dlatego uprawa nasion na zbyt ma widoki powodzenia tylko wtedy, gdy plantacja podlega kontroli odbiorcy albo powołanej do tego instytucji. Dla nasion ogrodowych istnieje Związek hodowców i wytwórców nasion ogrodowych, z siedzibą w Warszawie, Bagatela 3.

* * *

Drugim czynnikiem, decydującym o dobroci nasienia, jest jego żywotność, czyli zdolność kiełkowania.

Zależy ona od przebiegu wykształcania się nasienia na roślinie, od warunków przechowania, od wieku nasienia i od swojej każdemu gatunkowi rośliny zdolności zachowywania siły kiełkowania.

W czasie kwitnienia pada pyłek na znamię słupka w kwiecie, stamtąd wyrostek, czyli łagiewka pyłku przedostaje się do zalążni i powoduje zapłodnienie zalążków. Od tej chwili nasiona zaczynają się rozwijać i w ciągu krótszego lub dłuższego czasu wykształcają się i dojrzewają. Przy sprzyjających warunkach atmosferycznych wszystkie opisane procesy odbywają się normalnie i otrzymujemy nasiona, których duży odsetek posiada zdolność kiełkowania. U niektórych gatunków do skutecznego zapłodnienia niezbędny jest albo przynajmniej dodatni wpływ wywiera udział pszczoł, lub innych owadów. Długotrwała słońca, brak słońca, zimno, oddziaływa ujemnie zarówno na zawiązywanie się, jak i na dojrzewanie nasion i procent kiełkujących jest wtedy znikomy.

Należycie wykształcone nasiona muszą być we właściwej porze zebrane, i umiejętnie dosuszone. Jedne z nich zaraz po wysuszeniu podlegają oczyszczeniu, inne pozostają w łuskach, strąkach i t. p. do czasu, gdy nadejdzie pora sprzedaży lub wysiewu, bo w tejże postaci lepiej się przechowują. Wogóle nasiona trzymać należy w pomieszczeniach przewiewnych, chłodnych, lecz zabezpieczonych od mrozów suchych i nie wystawionych na bezpośrednie działanie promieni słonecznych. Mniejsze ilości przechowujemy w przewiewnych woreczkach, większe najlepiej rozsypywać niezbyt grubą warstwą i często przegarniać. Ziarno, pozostawione z plewą, trzyma się lepiej, niż oczyszczone. Szafy, szuflady lub skrzynki do nasion powinny również być przewiewne.

Gdzie myszy zrzadzają szkody, zaleca się woreczki z nasionami wieszać u pułapu, a szafy odsuwać od ścian i stawiać na wysokich nogach. Nogi można otoczyć dosyć szerokim kołnierzem z tektury lub blachy, kształtu odwróconego lejka, a wówczas myszy się do szafy nie dostaną.

Jednak pomimo najprzyjaźniejszych warunków zdolność kiełkowania nasion stopniowo będzie się zmniejszała, aczkolwiek nie tak szybko, jak w złych warunkach przechowania. Szybkość postępu zamierania nasion głównie jednak zależy od wła-

ściwości wrodzonej. Są więc nasiona, które tracą zdolność kiełkowania po upływie paru dni (np. topole), podczas gdy ogórki, dynie wschodzą niekiedy po 25 latach od dojrzewania. Poza to, jak wspomnieliśmy, nasiona dobrze wykształcone i dojrzałe mają od pierwszej chwili wyższą siłę kiełkowania, niż źle dojrzałe. Wiąca np. przeciętna siła kiełkowania nasienia cebuli wynosi 70%. Na jarmarku nasiennym w Bagateli w r. 1922 było nasienie cebuli o stwierdzonej sile kiełkowania 95%, podczas gdy w złych latach może ona spaść do 40%. Ponieważ zdolność kiełkowania w cebuli w drugim roku zmniejsza się w przybliżeniu o połowę, a w trzecim roku o 75 do 80%, więc łatwo wywnioskować, że np. w drugim roku nasienie wysokiej wartości wejdzie jeszcze w 95%², czyli blisko 50 ziarn na 100, zatem da tyleż kiełków, ile lichy wykształcone nasienie w pierwszym roku po zbiorze.

Im dłużej nasiona z natury zachowują zdolność kiełkowania, tem powolniejszy jest spadek ich wartości użytkowej. Dlatego dobrze jest wiedzieć, choć w przybliżeniu, jak szybko zamierają nasiona poszczególnych gatunków.

Mniej sumienni składnicy często mieszają niewyprzedane zapasy nasion z nowymi zbiorami i wszystko sprzedają jako nasienie świeże, pełnowartościowe. Będzie to trwałe dopóty, dopóki nie zostanie wprowadzony przymus zaopatrywania nasion sprzedawanych w zaświadczenia miarodajnych stacji oceny nasion. Ale i to pozostanie martwą literą: dopóki nabywcy nie będą żądali od sprzedawców gwarancji pisemnej siły kiełkowania i za fałszywe dane nie zaczną pociągać ich do odpowiedzialności sądowej, jak za zwykłe oszustwo.

Zanim to jednak nastąpi, powinien każdy nabywca sam sprawdzać stopień wartości użytkowej otrzymanych nasion, jak również poddać próbom nasiona własnego zbioru i pozostałe zapasy z lat ubiegłych.

Można to wykonać dwoma sposobami: 1) z każdej partji, czy paczki osobno oddzielić próbkę i przesać do stacji oceny



nasion (w Warszawie—przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa—Krak.-Przedmieście 68, lub do Cent. Tow. Rolniczego — Kopernika 30), które za niewielką opłatą przeprowadzą badanie,—2) poddać nasiona kiełkowaniu próbnemu sposobem domowym.

Kto posiada cieplarnię, może wysiać w skrzyneczkach, doniczkach lub wprost na parapecie odliczoną ściśle ilość ziarna, a gdy powschodzą—przeliczy kiełki i ustali odsetek. W braku cieplarni można ustawić takie skrzyneczki w pokoju mieszkalnym, w miejscu ciepłym, choćby nawet ciemnym, i nakryć skrzynki szybą. Dopiero gdy się kiełki ukażą, trzeba korytka ustawić na oknie, jaknajbliżej szyby.

Istnieją też specjalne aparaty, zwane kiełkownikami, wykonane z porowatej wypalanej gliny, wchłaniającej energicznie wodę. Nasiona, rozłożone na takiej podstawie, nakryte szkłem, znajdują dosyć wilgoci, żeby wypuścić kiełki, stwierdzające ich wartość użytkową. Zamiast takich kiełkowników można ostatecznie użyć talerzyka płaskiego i płatek wełnianego lub odpowiedniego kawałka bibuły, które będą czerpały wodę z talerzyka i stanowiły podłoże dla nasion.

Wyniki, otrzymane za pomocą metod opisanych, pouczą nas, czy nasiona posiadają jeszcze wartość użytkową, i względnie — jak gęsto siał je należy. Przy zbyt gęstym sianiu nasion dobrych, marnujemy ziarno i wiele roślin musimy po wzejściu usunąć, żeby pozostałe mogły się swobodnie rozwijać. Przy lichym nasieniu, rozłożeniem rzadko, tracilibyśmy wiele cennego miejsca w ogrodzie, a zagony świeciłyby pustką. Nawet rośliny, siane na rozsadniku lub w inspekcji, skąd bywają przesadzone na właściwe miejsce, muszą od pierwszej chwili stać obrzędnie, jeśli mają wyrosnąć jędrne i zdrowe.

* * *

Kto zamawia nasiona w składach, dobrze uczyni, przesyłając swe zlecenia jak najwcześniej, więc w styczniu, początku lutego. Składnicy załatwiają zamówienia w porządku ich otrzymywania, a sezon trwa dość krótko, więc gdy słońko zaświeci wiosna zagłada do okien, personel przepracowany łatwo popełnić może omyłkę. Zanim nasiona dojdą na miejsce przeznaczenia i błąd zostanie zauważony — może być za późno na zamianę.

Niektóre nasiona posiadają składnicy w ilości ograniczonej. Obdzielają więc niemi tych, którzy pierwsi ich zażądali, a późniejszym wysyłają odmiany podobne, albo w razie uczynionego zastrzeżenia, nie dostarczają ich wcale. Trzeba wtedy szukać nasion gdzieindziej, a czas nie czeka. Kto w ogrodnictwie pewnych czynności nie wykona w porę, ten nie wykona ich wcale.

A więc przeglądajmy zapasy nasion i układajmy plan gospodarstwa w długie wieczory zimowe, abyśmy mogli zamawiać nasiona, jak tylko cenniki wyjdą z druku.

KILKA NAJNOWSZYCH SPOSOBÓW WIĄZANIA WOALKI



Odkąd wróciły do mody małe kapelusze i woalka upomniała się o swoje prawa, aby miękkimi zwojami ożywić suchość i sztywność linji noszonych obecnie kapeluszków. Woalkę robi się z tiulu gładkiego, lub haftowanego w deseń, zasłania się nią tylko oczy, lub otula twarz całą, albo wiąże na kapeluszu — zaledwie opadającą z rondka, jak wskazują podane przez nas rysunki. Każdy z powyższych sposobów jej noszenia podnosi urodę i dodaje całej postaci kokieterji, lecz aby dopiąć tego celu — woalki powinny być ściśle dobrane kolorem do kapeluszy, które dopełniają.



KAPELUSZE PARYSKIE

Tyle jest do powiedzenia w tej kwestii, że możnaby o tem pisać do nieskończoności. Jeśli na ogół Paryżanka potrafi często oprzeć się pokusie sprawienia sobie nowej sukni, nie przewidzianej w budżecie domowym, chociażby nawet ta suknia bardzo jej się podobała — to ileż energii, ile siły woli i rozsądku potrzeba jej na to, aby sobie odmówić kupienia „kapelusika” takiego milutkiego, malutkiego kapelusika, co się na niego natrafia przypadkiem u jakiejś małej modystki, „wcale nie drogiej”?

Powiedzmy sobie jednak na uszko, moje Panie, gdy nas nikt nie słucha: ten „malutki, niedrogi kapelusik” nie jest wcale tak bardzo tani. Ale cóż robić; trzeba się stosować do wymagań epoki, a nikt przecie nie może wymagać w XX wieku, abyśmy chodziły po ulicach z gołą głową i rozpuszczonymi włosami... A więc — jakże go nie kupić, tego małego kapelusika, który tak dobrze harmonizuje z nową suknią z zielonego crêpe marocain lub, z tą z popielatej mory?

Jeśli mówię „mały kapelusik” nie mam na myśli fasonu „cloche”. Ten ulubiony przez nas fason, niestety, odebrała nam okrutna moda. Cóż nam za to dała w zastępstwie?

Mały kapelusz — powinien być w tej chwili ze skóry (jeśli się go używa do podróży, do auta, do samolotu i t. d.), i obowiązkowo do brany do okrycia. Bronzowy i złoty kolor skóry uważane są obecnie za zbyt obnoszone, najbardziej szykowne są migdałowo-zielony i szary (mysi). Bardzo modna jest także skóra jelonkowa nie farbowana, w kolorze naturalnym. Niestety, podlega ona łatwo zabrudzeniu, ale nie należy również zapominać, że się doskonale czyści. Zwolenniczki koloru czarnego — który jest jeszcze dotychczas bardzo modny — otrzymają prześliczny efekt, przybrawszy swą czarną skórzaną czapkę futerkiem białego królika. To samo przybranie powinno mieć i palto, również czarne, naturalnie.

Kto się zdecyduje na kolor „piastajowy”, niechże sobie dobierze kapelusik z główką trochę spiczastą, przypominającą kształt mitry. Przybranie może być z popielic naturalnych lub imitowanych. Ten rodzaj kapelusza świecił, w okresie podróży świątecznych, prawdziwe tryumfy.

Toczek w stylu rosyjskim jest także wciąż noszony. Robi się go z tafety lub czarnego atlasu, impregnowanego tak jak materiały używane na płaszcze. Bywają także robione

z wąskich paseczków skórzanych, przeplatanych w taki sposób, aby tworzyły szachownicę. Paski pod brodą nie są modne.

Kapelusze poranne są teraz bardzo skromne i praktyczne. W Paryżu noszone są przeważnie filce, ale w bardzo wysokim gatunku, na tem bowiem polega cała ich elegancja... no i oczywiście, na szyku, kokardy przyozdabiającej ten skromny kapelusik „trotteur”, jak go nazywamy nad Sekwaną. Główki mają teraz wymiary znacznie mniej kwadratowe, niż dawniej (ku wielkiej radości naszych estetów!) Można także zauważyć pewną tendencję do główek wydłużonych, spiczastych, które są o wiele ładniejsze i bardziej eleganckie od kwadratowych. Jednakże dotychczas te wydłużone główki widuje się tylko w kapeluszach aksamitnych w kolorach czarnym, zielonym czy brązowym (aksamit albo gładki, albo wypikowany, co jest obecnie najświeższym wyrazem mody) lub też w bardzo eleganckich „kreacjach” z gładkiej panne o połysku srebrzysto-szarym. Ten ostatni rodzaj kapelusza jest może nieco poważny, ale niezmiernie w dobrym guście.

Widuje się w tym sezonie fasony kapeluszy większe i mniejsze, bardziej ulubione są jednak małe fasoniki. Najwięcej noszone są takie, których rondko, osłaniające oczy, podnosi się z tyłu i przylega ściśle do główki. fasonik ten bowiem nie tylko „robi do twarzy”, lecz jest ponadto bardzo wygodny, gdyż pozwala na podniesienie wysoko kołnierza od płaszcza i otulenie się nim dla ochrony przed chłodem.

Zauważyć należy, że fason „marquis”, zarzucony od pewnego czasu i uważany za odpowiedni jedynie dla dzieci, powraca obecnie znów do łask naszych elegantek. Robi się te fasony przeważnie z filcu, przybrane na boku różą ponsową lub koloru mauve, albo też z „panne” ozdobione egretą z krosów, położoną na brzegu rondka, nieco ukośnie w dół, co nadaje całości wygląd bardzo szykowny.

Przybrania naszych kapeluszy dają im wiele elegancji. Są one bardzo różnorodne: kokardy z wstążek, wiązane sposobem nowym i bardzo skomplikowanym, pompony z piór jastrzębia, zórawia numidyjskiego, strusia (nie fryzowane), wstążeczki double-face, lub przetykanej złotem i srebrem. róże jedwabne o subtelnych odcieniach, klamry srebrne, z perłowej masy, z kości słoniowej, nawet motywy z rzeźbionego drzewa — jednym słowem, panuje pod tym względem całkowita dowolność, byle tylko umieć się utrzymać w granicach estetyki i dobrego smaku.

Na samym końcu wymienię jeszcze kapelusze t. zw. „stylowe”, które się widuje tylko w wielkich firmach i to na specjalne zamówienie klientek, do jakiejś odpowiedniej toalety. Są one głębokie, duże, osłaniające twarz — ale naogół widuje się ich bardzo mało.

O kapeluszach wieczorowych nie powiedzieć nie mogę, gdyż — znikły najzupełniej z widowni. Nie spotyka się ich ani na główkach pięknych pań, ani na wystawach modniarek.

Hrabina Annie.

KRETONOWE GNIAZDKO

Mało jest dzisiaj między nami uprzywilejowanych, któreby urządzając kącik, gdzie ich życie się koncentruje, mogły pójść po prostu do pierwszorzędnego magazynu i podług gustu swego i upodobań dobrać meble, pokrycia, dywany, portjery etc.

Niezgoda, pomiędzy budżetem, a upodobaniami nie powinna jednak wpływać deprymująco i prowadzić ku abnegacji, stwarzającej wnętrza, które robią wrażenie popasu, gdzie się wprawdzie daje ciało wypoczynek i karmę, ale gdzie dla biednego, skołatanego, a nieraz i brzydota życia zranionego ducha, niema przytuliska i wypoczynku.

Czyż mało jest wśród nas czarodziejek, które minimalnymi środkami, dochodzą do ślicznych rezultatów? Czy tak dalece trudnem byłoby, dla tych, które pod wpływem zniechęcenia, zmęczenia, lub braków, zaniedbały swoje mieszkanie otrząsnąć się i pójść w ich ślady?

Widziałam, kiedyś, w skromnym dworku wiejskim, staraniami mieszkanki usłanym na wzór miękkiego gniazdzka — efekty osiągnięte bardzo skromnymi środkami.

W zacisznym kąciku przy kominku, zwyczajny leżak z białego sosnowego drzewa i zgrzebnego samodzielnego płótna — narzucony barwną tkaniną i bogactwem miękkich poduszek. Między oknami, w słońcu i świetle stoliczek zmyślnie skonstruowany, tak, że na jednym większym, stał jakoby drugi mniejszy, obydwa galeryjką otoczone i tonące w powodzi kwitnących primulek, które czas swego półsnu wegetacyjnego spędzały w rzadko opalanym pokoju na górze, a w okresie kwitnienia rzucały barwną plamę na tło tej przemiłej komnatki.

W oknie, staroświecki, o wysokim oparciu, fotel, przed nim stoliczek, we wnętrzach swych kryjący szeregi szpulek, zwoje bajecznie kolorowych nitok i misternych je-

dwabi. Zręcznie i kapryśnie rzucone, w najlepszym świetle, biureczko, z przyborami do pisania i zawsze świeżą, i subtelną, przykuwającą oko, wiązką.

Miękka kanapka — przy niej niuzutki stoliczek zarzucony pismami i książkami, oto i całe bogactwo urzędzenia! Koszt groszowy w porównaniu z wynikami, które faktycznie były przemile i śliczne.

A wzorzyste, usiane kwiatami kretony, jak pieszczą oko w sypialni, jeżeli zlewają się kolorytem, z barwą ścian, z typem mieszkanki, z łagodnym światłem narzuconej odpowiednią szmatką lampy, jeżeli wreszcie podniesiemy urok tego pudełeczka kilkoma obrazkami, w odpowiednim tonie utrzymaną wiązką, kwiatów i tą nieuchwytną wonią, jaka króluje zwykle w sypialni kobiety, której najwyższym komfortem jest czystość i pielęgnowanie swego otoczenia.

Wierzcie mi wszystkie, które z olśnieniem zatrzymujecie się u progu, takich wewnątrz, że trochę dobrej woli, przy wrodzonym guście i poczuciu piękna i w naszych gniazdkach stworzą cuda.

Początki są może trudne, ale tem miłsze i sercu bliższe dodatnie wyniki. Jak prędko nauczyć się kochać dom, którego urok powołacie do życia swym trudem i jak wiele dobrych chwil przeżyjecie w jego ścianach — chwil, które wyrugują z życia waszego żal, tych mniej uprzywilejowanych i zapłacą stokrotnie za najdrobiazowsze starania.

Urok „kretonowego gniazdka“ przerasta, niejednokrotnie, brokatowe wnętrza, powołane do życia, potęgą złota, gdy twórczynią tamtych jest tylko kobieta, kobieta z nigdy nie wyczerpanem bogactwem wyobraźni, gustu i daru stwarzania cudów.

KŁOPOTY KARNAWAŁOWE

Ożywiający się po trochu karnawał obarcza nas kłopotem myślenia nie tylko o naszych strojach, ale i o balowych potrzebach naszych mężów i synów.

Jednym z najważniejszych jest odprasowywanie męskich ubrań, o które w Warszawie łatwo, krawców bowiem nie brakuje i odżałowawszy kilka złotych, ma się garnitur odprasowany bez kłopotu, ale co zrobić na wsi, gdzie nieraz nawet w miasteczku najbliższym niema krawca, któryby miał pojęcie o odprasowaniu fraka, albo nawet smokinga.

Trzeba sobie wtedy radzić samej, a rozejrzawszy się w tej robocie przekonamy się, że nie święci garniki lepią. Aby dokładnie odprasować garnitur trzeba wybrać najcięższe żelazko jakie mamy w domu, podłożyć pod ubranie płat miękkiego wołoku, na ubranie zaś kłaść kawał dobrze wyżętego, mokrego płótna, nie strzępiącego się, nie zszywanego i nie cerowanego, ale też i nie nowego, żeby dobrze przyjmowało wilgoć.

Po ułożeniu na desce spodni, które winny być złożone tak, aby przednie guziki od szelek spotykały się ze sobą, kant wypadnie we właściwym miejscu. Prasować należy przez mokry gałgan miejsce przy miejscu, nie przyciskając zbyt mocno: do materiałów jak sukno i kamgar nie używa się bardzo gorącego żelaza, bo pod wpływem gorąca materiał mszy się, do innych gatunków wełn żelazko może być bardzo gorące, byle nie żółciło, co głównie znać na jasnych garniturach.

Żelazkiem trzeba wodzić z góry na dół po ubraniu nakrytem mokrem płótnem. Jeżeli materiał łatwy do wyświecenia trzeba jeszcze podłożyć pod mokre płótno kawałek suchego i nie przyciskając żelazka prędko prasować.

Spodnie prasować można na desce, do marynarki, żakietu, smokinga i fraka, trzeba koniecznie mieć poduszkę, łatwą zresztą do zrobienia domowym przemysłem, po prostu uszytą z surówki poszewką napycha się dobrze twardo trocinami. Na tej poduszce należy fasonować przody, rekawy, kołnierzy i kłapy ubrania. Poduszka winna leżeć na stołeczku, postawionym na stole, tak, aby odprasowane ubranie mogło być na nim rozłożone i nie gnioło się. Plecy prasuje się w powietrzu, podkładając pod nie rękę okrytą rękawicą uszytą z kawałka poczwórnie złożonego wołoku, a przypominającą kształtem pokojowy pantofel.

Ubrania nie można kłaść zaraz po wyprasowaniu, trzeba żeby dobrze wyparowało, zastygło i wyschło. Ponieważ prasowanie ubrań poza domem jest kosztowne, w domu zaś bardzo mozolne najwygodniej, najoszczędniej i dla materiałów najzdrowiej jest unikać zbyt częstego prasowania, przez staranne wieszanie ubrań na specjalnych wieszadłkach. Spodnie powinny wisieć wyciągnięte całą długością, dołami ściśnięte między dwie deseczki specjalnego wieszadła, kamizelkę i kurtkę wieszają się na ramiączkach. Do męskich ubrań najpraktyczniejsze są szafy bez wieszadeł, a tylko z przeciągniętym

u góry drążkiem długim, jak cała szafa, na którym zawieszają się jedne za drugimi ubrania na ramiączkach. Tak się nie pogniotą, zwłaszcza jeżeli po zdjęciu będą zawsze starannie rozłożone, a materiały z których są zrobione w dobrym gatunku, jedno prasowanie na długo wystarczy.

A teraz słowo porady dla matek, które mają dorastających, wchodzących w świat synów. Z początku bywają oni tylko na tak bardzo dziś rozpowszechnionych szkolnych wieczorkach, na które żadna specjalna toaleta nie obowiązuje; powoli krąg ich stosunków rozszerza się, zwłaszcza jeśli chłopiec miły, zręczny i dobrze tańczy jego karjera dancinowo — światowa zapewniona.

Aby bywać trzeba nie tylko mieć się w co ubrać, ale i wiedzieć jak i kiedy ubrać się wypada. W wieku o którym piszę w chłopcach budzi się pociąg do wielkiej, często nadmiernej elegancji, co to rozpacz o źle uprasowany kołnierzyk, o wadliwie leżący gors! Rada matki, tej najlepszej i nigdy nie zawodzącej przyjaciółki staje się wtedy niezbędną, taki bowiem nieobyty młodzieniec łatwo wpada w przesadę i z eleganckiego chłopca robi się śmiesznym gogusiem. Pamiętajmy, że aby być dobrze ubranym nie można nakazów mody stosować bez zastrzeżeń i krańcowo. Zasadę tę przyjąć należy i dla kobiet. Jeżeli będą o niej pamiętały nie będziemy zmuszeni patrzeć na osoby, w śmiesznie wąskich i krótkich spódniczkach, w niemożliwie wygorsowanych stanikach, często zupełnie nie zastosowanych do figury, urody, a co najważniejsze do wieku i stanowiska danej osoby.

Młodego chłopca trzeba przede wszystkim nauczyć jakie i kiedy ubranie się nosi. Naturalnie mówimy tu o młodzieńcach dla których szkoła, i jej miłe i przykre przeżycia są już wspomnieniem, którzy i z którymi świat zaczyna się już liczyć.

Marynarkowe garnitury, w lecie jasne, w zimie ciemne nosi się cały dzień, można w czarnej, lub ciemno granatowej marynarce iść w dzień na mało etykietalną wizytę. Wieczorem używa się marynarki tylko w bardzo zażyłych i bezceremonjalnych stosunkach, do domów rodzinnych, lub na koleżeńskie kawalerskie zebrania. Żakietowe ubranie po wojnie wyszło trochę z mody, obecnie upomina się o swoje dawne prawa w garderobie męskiej. Służą ono na dzienne, uroczyste, etykietalne i eleganckie wizyty, używane jest także na ciche ranne śluby, wszelkie południo-

we i dzienne przyjęcia i zgromadzenia. W podwieczorkowych godzinach panuje teraz, jak i dawniej smoking. Wieczorem, na obiady prozzone, zabawy i bale nosi się frak. Fraka w dzień używa się tylko w nadzwyczajnych okolicznościach, wielkich ceremoniach dyplomatycznych, przyjęciach południowych z okazji świąt, lub innych uroczystości u najwyższych dygnitarzy duchownych i świeckich. Na bale do fraka nosi się zawsze białą kamizelkę i biały krawat.

Do smokinga nosi się tylko czarny krawat (kokardkę) i czarną kamizelkę. Do fraka i do smokinga używa się lakierowanych półbutów, sztywnej, pięknie uprasowanej białej bielizny, cienkich czarnych jedwabnych skarpetek, moda wszakże wprowadziła do smokinga popielate, jasne, a nawet białe skarpetki. Do żakietu nosi się obuwie czarne i białą koszulę, krawat długi, ciemny jedwabny, w pięknym gatunku. Do marynarki jako ubrania neglizowego używane są żółte buty lub półbuty i getry, kolorowe fantazyjne skarpetki, bielizna miękka i krawaty jasne, w żywe desenie, długie, lub wąskie do wiązania na kokardki t. zw. nuszki.

Marynarce i żakietowi w dzień, odpowiada smoking i frak wieczorem.

Wskazówki które tu podałam są zasadnicze, elementarne że tak powiem. Moda wprowadza coraz to nowe drobne zmiany i odchylenia od tej głównej reguły. Od dobrego smaku poczucia estetycznego i taktu, danego mężczyzny, lub jego doradczyni, zależy będzie jak przystosuje do siebie fantazje i wymagania mody.

Jedną z takich obecnie są chusteczki, jedwabne, batikowane, odpowiednie w kolorze do krawata, które wyglądające z kieszonki marynarki, lub żakietu elegancko wykończają ubranie. Do fraka, nosi się białą haftowaną, lub jedwabną chusteczkę, zręcznie założoną z boku pod kamizelkę. J. S.

KORESPONDENCJE

P. Zofji W... z Pomorza. Aby wyczyścić aksamit — odświeżyć go i nadać mu połysk, trzeba wziąć gałganek nie puszczający, tego samego co aksamit koloru, koniecznie miękki — maczać go w spirytusie i mocno wycierać aksamit. Miejsca gdzie włos jest przygnieciony jeszcze raz natrzeć spirytusem, szczotkować cienką, sztywną, szczotką i przez kilka minut (do 10-ciu) po-trzymać prawą stronę na dół nad

gotującą się wodą. — Nie należy maczać w wodzie — ale trzymać trzeba jak można najgłębiej, aby para była b. gorąca. Po naparzeniu znów się szczotkuje i zostawia aksamit do wysuszenia, rozciągając na stole. Na zakończenie roboty nalewa się kilka kropli olejku migdałowego na czysty papier i mocno pociera się gęstą szczoteczką o ten papier a następnie miejsce przy miejscu czyści się aksamit, aby mu wrócić połysk. Tak oczyszczony aksamit wygląda jak nowy. Gdyby po odparowaniu pozostały jakieś załamki lub zagniecenia można odprasować aksamit w następujący sposób: zwilżywszy go równo po lewej stronie, trzymać sztywno w dwie osoby w powietrzu i prędko prasować po lewej stronie gorącym żelazkiem. Tak samo prasuje się aksamitkę, którą czyści się po prostu skórką skrojoną ze słoniny, następnie zmywa spirytusem i prasuje po lewej stronie w powietrzu, a po wyczyszczeniu szczotką ostrą będzie jak nowa. R.

Redakcja „Bluszczu“ odpowiada stałym Czytelniczkom na wszelkie prytyania, dotyczące życia domowego, gospodarstwa, mód, robót i t. d. adresowane do redakcji działu praktycznego.



Przepisy gospodarskie

WĘDLINY LITEWSKIE

Balerony i szynki w pęcherzu. Balerony na kresach karkowinami zwane, robi się z przeraśniętego mięsa, znajdującego się pomiędzy głowizną, a schabem, cały ten kawał daje się łatwo odzielić przy rozbieraniu wieprza. Szynki w pęcherzu są to łopatki zdjęte z kości, zwinięte, włożone w grube kiszki i w takiej postaci wędzone.

O ile wieprz ma bardzo grube połcie słoniny ten sposób jest dobry, gdyż cały tłuszcz zewnętrzny okrawa się z łopatek i powiększa połcie słoniny — przy cieńszej słoninie, jak to zwykle ma miejsce u sztuk młodych, korzystniej jest odciąć całą łopatkę, kości wyluzować, wraz ze skórą zwinąć

w trąbkę, mocno osznurować, formować długą roladę — poczem solić to i wędzić razem z tylnymi szynkami.

Tak przygotowane łopatki są sprzedawane w Warszawie pod nazwą golonek.

Balerony i szynki w pęcherzu należy solić wraz z szynkami lub też poledwicami. Po dniach dzieściu najwyżej, mają dosyć. Zwija się je wtedy jaknajściślej, ubijając nawet drewnianym tłuczkiem, aby nadać zręczny kształt, poczem wkłada się je w bardzo grube i szerokie kiszki wołowe, końce mocno zawiązuje, osznurowuje cały baleron, aby przy wędzeniu nie stracił kształtu i obsusza dzień lub dwa na wietrze. Dobrze obsuszony wie-sza się bardzo wysoko w wędzarni i wędzi w zupełnie zimnym dymie od tygodnia do dwóch, zależnie od rozmiarów poszczególnych sztuk. Łopatek na kości nie radzę nigdy wędzić, gdyż kości w nich są tak rozłożone, że nigdy szynki ładnie się nakrajać nie da, na Kresach dawniej wprowadzono wędzono łopatki całe, lecz używano je prawie wyłącznie na gotowanie zup, lub na t. zw. „porcje“ dla służby i czeladzi.

Salami (na kresach salcesonem zwane). Dwanaście funtów mięsa wieprzowego chudego, przepuścić przez maszynkę wraz z pięcioma funtami wołowiny. Na tę ilość mięsa bierze się soli prażonej łątów dwadzieścia, saletry łąt jeden, pieprzu dwa łąty, ziela 1 łąt, goździków i majeranku po pół łąta i tyleż listka laurowego. Wszystkie te przyprawy winny być drobno utłuczone, przesiane przez sito i dokładnie wymieszane z solą i saletrą. Wymieszać wszystko z mięsem, które należy ubijać w niecce tłuczkiem od kartofli, dolewając doń szklanek rumu, lub, w braku rumu, chociaż spirytusu. Gdy się doskonale ubije, aż zrobi się zupełnie gładka masa, trzeba włożyć trzy funty najtwardszej słoniny od karku, pokrajanej w długą kostkę.

Kiszki mocne, wołowe, średniej grubości, doskonale oczyszczone, wyszlamowane i trzymane w soli przez dni parę, doskonale wewnątrz i zewnątrz obetrzeć i nabijać je tą masą jaknaszczelniej, tłocząc mięso wałkiem drewnianym, strzegąc się jednak, aby kiszki nie popękały. Gdy wszystkie gotowe, włożyć je na stolnicy, przykryć deską i przycisnąć kamieniem. Trzymać je tak ze dwie doby w miernie ciepłym pokoju, a potem wynieść do chłodnej spiżarni, gdzieby jednak mróz nie dochodził i tam trzymać ze dwa tygodnie. Potrzymać je potem

jeszcze z tydzień na wiosennym wietrze i przechowywać w życie, chnieciu lub sianie.

Takie salami konserwuje się wybornie, a czasem stają się prawie przezroczyste i daje się krajać jak papier cienko. Należy tylko uważać na to aby masa mięsna była doskonale wyrobiona i kiszki zupełnie suche.

Kielbasy wędzone zwykłe. Na kielbasy należy mięso krajać nożami, a nie mleć przez maszynkę. Na trzy części wieprzowiny dodaje się czwartą wołowiny. Na 24 funty takiej mieszaniny, (wieprzowina powinna być dobrze przerastała) bierze się jeden funt soli, 1½ łyta saletry, 2 łyty pieprzu zwykłego, łyta ziela, kilka ząbków czosnku. Korzenie winny być dobrze utłuczone, czosnek utarty. Wszystko to się jaknajdokładniej wyrabia, napycha w kiszki wieprzowe niezbyt grube i wynosi na tydzień, do dziesięciu dni w chłodne suche miejsce.

Kielbasy takie winny wisieć na drążkach. Przed wędzeniem osuszyć je jeszcze przez godzin kilka na wietrze, poczem wędzić z tydzień w chłodnym dymie.

Kielbasy takie są bardzo smaczne, nie są jednak ani o połowę tak trwałe jak salami, jednak około trzech miesięcy trwać mogą.

Na wyrób takich kielbas używa się zwykle wszelkich obrzyneków od szynki, boczki i poledwic, robiąc je w większej ilości bierze się na nie i całe łopatki.

Słonina i boczki wędzone. Na Kresach wcale nie używają solonej słoniny; po zabiciu wieprza różne drobne kawałki słoniny używa się na świeżo, wielkie zaś polćie słoniny wędzą się jak inne mięsiwo, i przechowują wieszane w spichrzach zbożowych, lub specjalnie na to przeznaczonych lamusach.

Boczki i podbrzusze należy solić wraz z szynkami, dodając do nich tę samą ilość korzeni, soli

i saletry, słoniny zaś przeznaczonej na użytek kuchenny się nie salatrjuje. Soli się ją w płaskich dużych nieckach, nacierając stronę wewnętrzną (tłuszcz) mocno solą i rzucając między każde dwa złożone tą stroną do siebie polćie kilka ziarn pieprzu i galki i kilka listków laurowych. Na pud słoniny bierze się dwa i ćwierć funta soli prażonej, pozostałą od wcierania solą posypuje się polćie po wierzchu skóry. Gdy wszystkie polćie ułożone, przyciska się je mocno deską i naciska kamieniem. Słoninę taką się soli przez dobre dwa tygodnie, co dni kilka przekładając górne polćie na dół aby się wszystkie dokładnie usoliły, poczem wyjmuje się je z niecek, osusza przez dwa dni na wietrze, poczem się je przez tydzień wędzi w chłodnym dymie, wywiesza ponownie na dobę na wiatr i przechowuje w suchym, przewiewnym miejscu.

Ponieważ jednak nie wszyscy lubią smak wędzonej słoniny w potrawach, można słoninę solić zupełnie w takiż sam sposób, jak do wędzenia, krając ją w nieco mniejsze kawałki i układając szczelnie w małe baryłki lub paczki. Dopóki trwają chłody przechowuje się te naczynia w spiżarni, latem należy je ustawić w lodowni.

Paczki na słoninę powinny być szczelnie zabite i zasmolowane. Aby słonina miała wszędzie równą ilość rosółu i dobrze się konserwowała, należy paczkę co parę tygodni przewraca dnem do góry.

Blutwursty. Głowiznę z niedużej sztuki, trzy funty podgardla, nerki, serce i śledzionę gotować w kotle zalane taką ilością wody, aby to wszystko objęła. Po godzinie gotowania dodaje się płuca i wątrobę i gotuje, aż wszystko zupełnie zmięknie. Płuca i wątrobę przepuścić dwa razy przez maszynkę wraz z kwartą krwi wieprzowej, wszystko inne pokrajać ostrym nożem w niezbyt drobną kostkę. Wsypać w to kubek soli, próbując

czy jest dosyć słone, dwa łyty pieprzu, łyta ziela, kilka goździków i łyżkę majeranku, wszystko jaknajdrobniej utłuczone. Masę wymieszać dokładnie i napełniać nią po dwie trzecie grubych kiszek wieprzowych lub wołowych. Końce należy mocno pozawiazywać i gotować na bardzo wolnym ogniu, żeby nie popękały. Gotują się zależnie od grubości od pół do całej godziny. Należy próbować je widelcem, gdy za przekłóciem tylko tłuszcz wypływa i krew się nie pokazuje, mają dosyć. Obmywa się je wtedy czystą wodą, układa na stole i zlekka, dla spłaszczenia, przyciska deską. Nazajutrz rano wynosi się je i wiesza w chłodnej spiżarni. Ktoby chciał część ich dłużej niż przez dwa tygodnie przechować może je jeszcze dni parę obwędzić w lekkim dymie.

Pani Elżbieta

DOBRE RADY

Aby oprawić noże, które wychodzą z trzonków wskutek maczania ich w gorącej wodzie trzeba wziąć 2 części kalafonji miałko utłuczonej i pomieszać z jedną częścią kredy tym proszkiem napełnia się jaknajszczelniej trzonek noża, rozgrzewa się nad płmieniem ostrze i takie gorące mocno obsadza się w trzonku, w którym za chwilę skamienieje.

* * *

Często się zdarza w zimie, że choć okno opatrzone, wieje od niego. Wtedy trzeba obejrzeć szyby i poprawić kitowanie, które odleciało. Rozciągnięty nożem, wzdłuż szyby kit, po wyschnięciu pociągnąć dla trwałości farbą olejną, a po uschnięciu zrobi się bardzo trwałą. Pozostały kit żeby nie wysychał włożyć w słoik i zalać zimną wodą, przez długi czas kit będzie miękki.

Wszystkie Czytelniczki, które zwracają się do nas w sprawie tytułu genueńskiego, zawiadamiamy, że ponieważ jest on na razie w Warszawie wyczerpany — sprowadzamy go z Paryża i po otrzymaniu podamy do wiadomości naszych prenumeratorek cenę i ilość potrzebną do wykonania zakieciaka, którego opis był № 1 „Bluszczu“.

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 5.

92. Suknia ślubna z białego atłasu, na dole i u rękawów haftowana srebrem.

93. Suknia ślubna z jedwabiu świecącego, przybrana gipiurową koronką i wstawką.

94. Suknia ślubna z białego crepe de chine'u, drapowana z boku.

95. Najmodniejszy sposób upięcia ślubnego welonu.

96. Suknia wieczorowa z aksamitu brązowego, przybrana sobolami i barwnym galonem.

97. Strojna suknia z brokateli czarnej ze złotem i z aksamitu czarnego.

98. Suknia z czarnego atłasu, z odciętą falbaną. Prząd naszyty galonikiem z białych paciorków.

99. Suknia z crepe de chine'u koloru brique, przybrana haftem, w którym przeważa kolor czarny i złoto, obszyta marabutami czarnymi. Rękawki z crepe marocain.

100. Bluzka z białego sukienka, haftowana kolorami.

101. Bluzka z kraciastej tafty. Kamizelka i kołnierzyk z białej organdy.

102. Bluzka z wełny w kratę, przybrana czarnymi guziczkami i kokardą z czarnej aksamitki.

103. Bluzka z crepe de paris koloru rubinowego, przybrana futerkiem.

104. Ubranko dla chłopczyka od 9 do 12 lat z szarego angielskiego materiału.

105. Sukienka dla dziewczynki od lat 8 do 12 z granatowego szewiotu, przybrana skosami z wełny w kratę.

106. Sukienka dla dziewczynki z lekkiego sukienka brązowego. Spódniczka układana w fałdy.

107. Płaszcz dla dziewczynki od lat 6 do 10 z sukna popielatego. Kołnierzyk fokowy.

108. Paltoek dla dziewczynki od lat 4 do 6 z aksamitu brązowego, przybrany gronostajami.

109. Poduszka na szarem płótnie, haft kolorowy. Motyw zakopiański. Wielkość naturalna 35x45.

UWAGA: Powiększone wzory robót umieszczonych w Dodatku Mód można nabywać w Administracji „Bluszczu” po cenach następujących: obrus — makata — ekran zł. 2.50; poduszka — serwetka zł. 1.50; drobne desenie gr. 75.

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy uskuteczniać na blankietach czekowych P. K. O

TABELKA przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

Kroje modeli umieszczonych w Dodatku Mód dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących: palto lub suknia fantazyjna . zł. 3.50

suknia zwyczajna „ 2.50
bluzka „ 2.00
formy dziecinne „ 2.00
bielizna „ 1.50

Nadesłane do Redakcji

(Za dział ten Redakcja nie odpowiada)

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Stefanji. Kruche paznokcie wzmocni płyn *Onglophite*, którym codziennie zwilżać należy Czarne punkciki w okolicy nosa są to zadatki na przyszłe węgry, wymywać je należy *Pureolem*, który usuwa je prawie natychmiastowo. Trwały róż nazywa się *Roseine*. Usta tym płynnym różem zwilżone nie zmyją się przez cały dzień: przy jedzeniu i picu. Roseiną również można barwić paznokcie, nadając im piękny różowawy odcień. Do paznokci jednak trzeba brać Roseinę jasną.

Ludwica K. Włosy rozjaśni pięknie, naturalnie płyn *Hella*. Cerę pielęgnuje prawidłowo krem *Abarid*. Główną uwagę zwracać trzeba puder. Jedynie na puder abaridowy jest nieszkodliwy. Wszelkie zagraniczne pudry mają domieszkę bielideł metalicznych, jakoto: blejwas, cynkwajs, bizmut, nadzwyczaj źle oddziałujące na naskórek. Myć twarz trzeba rano bardzo ciepłą wodą, aby otworzyć pory skóry. Myć bez mydła, lecz otrąbkami abaridowemi rozrobionymi wodą na dłoni.

Sabine. Siwiejącym włosom przywróci kolor *Orizalina* jeśli były ciemne, lub *Excelsior* o ile były jasne.

Kamilki. Łupież usunie *Tetral* i wzmocni o tyle, że przestaną wypadać.

Do wszystkich. Środki tutaj zalecane posiada na składzie perfumerja „Perfection” Szpitalna 10, w Krakowie *Miklaszewski* — pl. Dominikański, w Poznaniu *Zaremba* — ul. Pawła.

M-le Ercedès.

OGŁOSZENIA

przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU”: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA”, Warszawa, Jasna 10, T-WO REKLAMY MIĘDZYNAR: S-ka z Ogr. Odp.

Gen. Rep. RUDOLF MOSSE—Marszałkowska 124, BIURO OGŁOSZEŃ T. PIETRASZEK—Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp. — Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA — Senatorska 12. Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA” Długa 9 i I. BUCHWEITZ — Marszałkowska 107

OGŁOSZENIA

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA

Dział praktyczny oraz dodatek mód i robót pod redakcją MARJI PODHORSKIEJ—OKOŁÓW

Kierownik Graficzny EDMUND BARTŁOMIEJCZYK.

Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 99. Tel. 239 40.



KOMUNIKAT

BIURA PRASOWEGO

DLA SPRAW KOBIECYCH



W A R S Z A W A

31 STYCZNIA 1925 r

OBJAZD POGRANICZA

Instruktorka oświatowa Polskiego Białego Krzyża, p. Helena Pawłowiczówna dokonała w ciągu kilku tygodni objazdu pogranicza wschodniego Rzeczypospolitej, celem zorganizowania opieki nad żołnierzami Korpusu ochrony pogranicza. Chodzi o akcję kulturalno-oświatową, o tworzenie świetlic, gdzie żołnierz po ciężkim trudzie służby granicznej na mrozie, wicherze i ślocie, wobec nieustającego niebezpieczeństwa ze strony wrogich band, mógłby znaleźć odpoczynek, rozrywkę i posiłek, urozmaicający codzienną, żołnierską strawę.

P. Pawłowiczównie udało się we wszystkich najbardziej oddalonych zakątkach pobudzić społeczeństwo miejscowe do tworzenia kół opieki nad żołnierzem, które zostając w stałym kontakcie z Polskim Białym Krzyżem, prowadzić będą w świetlicach biblioteki, wykłady, zakupować pomoce szkolne, organizować przedstawienia teatralne, obchody rocznic, przedstawienia filmowe i t. d.

P. Pawłowiczówna, celem zbadania warunków, w jakich żołnierz nasz żyje, docierała do wszystkich, rozrzuconych po lasach i pustkach, strażnic granicznych, a tam gdzie miejscowe warunki komunikacyjne do tego zmuszały, docierała konno, zanosząc wszędzie dobrą wieść, iż są w stolicy ludzie, którzy o żołnierzu polskim, wystawionym na najtwardszą służbę, myślą i pragną przynieść mu pomoc i opiekę.

P. Biały Krzyż wysłał już do Korpusu kilkaset biblioteczek po 50 książek dla poszczególnych strażnic, które przeczytane książki wymieniają między sobą, oraz biblioteczki zasobniejsze dla większych jednostek wojskowych. Obecnie do Brygady wołyńskiej wyjechała druga instruktorka oświatowa P. B. K.

p. Kossecka, wioząc ze sobą przezrocza, latarnie, gramofony. Obie instruktorki posiadają duże wyrobienie fachowe, ponieważ w czasie wojny pracowały już w Sekcji propagandy i oświaty, jako instruktorki oświatowe, wojskowe.

Przygotowania do Kongresu Opieki nad Dzieckiem

D. 19 stycznia odbędzie się w Ministerstwie pracy i opieki społecznej zebranie, mające na celu przygotowanie przedstawicielstwa polskiego na pierwszy Międzynarodowy Kongres opieki nad dzieckiem, który odbędzie się w sierpniu r. b. w Genewie. Ponieważ Kongres ma mieć charakter wybitnie naukowy i społeczny, Ministerstwo pracy i opieki społecznej rozesłało szereg zaproszeń do przedstawicieli nauki i wybitnych działaczy społecznych w dziedzinie opieki nad dzieckiem.

Z ŻYCIA STOWARZYSZEŃ

SPRAWOZDANIE Z DZIAŁALNOŚCI KATOLICKIEGO ZWIĄZKU POLEK.

Katol. Związek Polek ma na celu w myśl-go artykułu statutu, łączyć wszystkie polki katolickich przekonań do wspólnej pracy kulturalno-społecznej dla podniesienia poziomu oświaty moralności i dobrobytu kobiet.

Prace Związku skupiają się w pięciu sekcjach i 33 podsekcjach.

Pierwsza z tych sekcji, sekcja religijna, wytknąwszy sobie, jako cel: pracę nad wyrobieniem duchowem i uświadomieniem religijnem członkiń, a działalność apostołską wśród

warstw szerszych prowadzi: I, kursy katechetyczne jednoroczne (od wstępujących wymagana matura) kształcące nauczycielki, mające prawo wykładania religii w szkołach powszechnych i średnich; rok rocznie kilkadziesiąt pań kończy te kursy z dyplomami, potwierdzonymi przez władze konsystorskie. Poza tem sekcja rozwija żywą działalność w kierunku katechizacji dorosłych i dzieci, organizuje rekolekcje wielkopostne dla członkiń Związku, dla cudzoziemców, przebywających w Warszawie, konferencje w języku francuskim. Do prac tej sekcji należy również: podsekcja robót kościelnych, zaopatrująca najbiedniejsze kościołki w aparaty kościelne, ornaty, komże, obrusy i t. d., organizowanie wspólnych nabożeństw, adoracji, pielgrzymek do miejsc świętych i t. d.

Druga sekcja oświatowa szerzy światło nauki, opartej na podstawach katolickich, kształcąc w Seminarjum na ludowe nauczycielki około 200 uczenic. Seminarjum nie otrzymuje żadnych subsydjów państwowych. 50 procent wydatków na utrzymanie Seminarjum (płace nauczycielskie) pokrywa Związek - 50 proc. wpisy uczenic, rekrutujących się przeważnie ze sfer niezamożnych. Prowadzi kursy języków obcych: francuskiego, angielskiego i niemieckiego, daje członkiniom i młodzieży dobrą książkę w czytelni, a podręczniki szkolne uczące się działawie w wypożyczalni bezpłatnej.

W trzeciej sekcji, społecznej koncentruje się życie zbiorowe Związku. Tygodniowe zebrania członkiń, odczyty, pogadanki, omawianie spraw bieżących, politycznych i ogólnospołecznych, koncerty, zebrania towarzyskie w pięknej sali Związku, mogącej pomieścić kilkaset osób, to zakres działalności sekcji społecznej, która opiekuje się poza tem Klubem małych sprzedawców Gazet i prowadzi biuro pośrednictwa pracy.

Do czwartej sekcji ekonomicznej należą placówki, stanowiące podłoże materialne ideowych prac związku, placówki o charakterze czysto handlowym jak np. hurtownia, z detaliczną sprzedażą wyrobów tytoniowych, mogąca się stać w przyszłości źródłem stałych dochodów Związku i placówki, które przynoszą minimalne zyski, ale mają przede wszystkim na celu podniesienie dobrobytu kobiet.

Ciężki kryzys ekonomiczny, przeżywany obecnie przez całe społeczeństwo polskie, a który odbił się może najdotkliwiej na kobiecie, zarówno na pozbawionej pracy, zredukowanej urzędnicze jak i na pani domu, szafarce grosza rodzinnego, dał Katolickiemu Związkowi Polek impuls do założenia całego szeregu kursów, a mianowicie: kursów kroju i szycia, kursów modniarstwa (roboty kapeluszy), kursów haftu białego i kolorowego (tak bardzo obecnie modnego), kursów stenografii. Myślą przewodnią Związku, przy zakładaniu tych kursów, jest danie niektórym kobietom fachowego, dochodowego sposobu zarobkowania, niektórym zaś poprostu możliwości zaradzenia sobie samej w uszyciu bielizny, czy sukni na potrzeby rodziny, a tem samem zaprowadzenia tak wydajnej oszczędności w budżecie domowym. Szczegółowych informacji o kursach udziela codziennie Kancelarja Związku (Krak.-Przedm. № 36) od 12 do 3-ciej. *)

Piąta sekcja—to sekcja opieki nad żołnierzem, w zakres której wchodzi współpraca z Komisją Międzystowarzyszeniową przy Białym Krzyżu—biblioteczki pułkowe im ks. Skorupki, opieka nad inwalidami w szpitalu mokotowskim.

Przy Związku istnieje też „Koło Młodych,” zawiązane w celu zgrupowania młodych dziewcząt na terenie prac związkowych. Zespół tych młodych sił pracuje i teoretycznie w celach samokształcenia i praktycznie, ujmując w swoje ręce szereg zagadnień z zakresu pracy społecznej.

Centrala Kat. Zw. Polek ma swoje równorzędne oddziały w Krakowie, Lwowie, Poznaniu i Wilnie. Oddziały te tworzą razem Unję Polskich Stowarzyszeń Kobietych, należą do Ligi Międzynarodowej Stowarzyszeń Kobietych Katolickich (biuro w Utrechcie). Każdy oddział

*) Chcąc ulżyć niedoli młodych akademik, mieszkających nieraz w warunkach uniemożliwiających wprost poważne traktowanie nauki, urągających najelementarniejszym wymaganiom higieny stworzył Katol. Zw. Polek „Ognisko” dla studentek. Młode dziewczęta korzystają tam za b. niską opłatą z mieszkania, światła i opału. Jest jeszcze kilka miejsc wolnych, zapisy przyjmuje Kancelarja Związku.

ma kilka lub kilkanaście filii w prowincjonalnych miastach na całym obszarze Polski.

Związek kierowany jest przez Walne Zgromadzenie, zwoływane przez Radę i przez Zarząd.

Przewodniczącą jest: ks. Włodzimierzowa Czetwertyńska w. przewodniczącymi: p. Jerzowa Michalska i Neronowicz Szpilińska—sekretarka M. Chrostowska—Związek istnieje od 1907 roku.

KURS PRAKTYCZNY GOSPODARSTWA WIEJSKIEGO DLA PANIEN.

Dnia 7-go marca r. b. rozpoczyna się w Puławach 3 miesięczny Kurs Gospodarstwa Wiejskiego dla Panien, zorganizowany staraniem Koła Młodych Ziemianek, w porozumieniu z Zarządem Zjednoczonego Koła Ziemianek.

Kurs obejmować będzie 4 działy: ogrodniczy, hodowli drobiu, kulinarny, społeczny. Każdy z tych działów traktowany będzie obszernie i prowadzony przez fachowe siły, tak że Kurs da słuchaczkom całokształt prowadzenia na wsi pracy gospodarczej i społecznej. Dział społeczny obejmować będzie: prowadzenie Kół Młodzieży, Kół Gospodyń Wiejskich, pracę w szkolnictwie, w ochronach, higienę wsi i ratownictwo o, jednym słowem, wszelkie gałęzie działalności społecznej na terenie wiejskim.

Oplata za kurs wynosi 150 zł. miesięcznie, łącznie z internatem, i 50 zł. wpisowego.

Zapisy przyjmuje i informacji udziela do dn. 1-go lutego r. b. Sekretarjat Koła Młodych Ziemianek we wtorki, czwartki i soboty od 12—2 p. p. w Warszawie Marszałkowska 149, Świetlica Ziemianek.

Koło Młodych Ziemianek zwraca się do Pań, chcących wziąć udział w Kursie, z gorącym apelem o jak najszybsze przesłanie zgłoszeń, gdyż bardzo pożądane jest wczesne zorientowanie się w ilości słuchaczek.

Przyjmowane będą kandydatki od 17 do 25 lat, na podstawie wykształcenia, odpowiadającego 7 klasom gimnazjalnym.

WYSTAWY

Do Komitetu, urządzającego wystawę w Liskowie, zaproszoną została p. Aniela Chmielińska, znana działaczka ludowa. Podczas dyskusji, na organizacyjnym zebraniu Komitetu proponowała p. Chmielińska, aby wystawa ze względu na spodziewany napływ zagranicznych gości, obejmowała dział etnografii z całej Polski, i aby nosiła nazwę „Wieś dla wsi”. Po dyskusji usta-

lono nazwę „Wieś polska w Liskowie”. Przy podziale pracy pomiędzy członków Komitetu p. Chmielińska objęła dział etnografii i przemysłu ludowego. Adres prywatny p. Chmielińskiej jest: Kłódzisko — poczta: Grodzisk Mazowiecki — skrzynka № 10. Podajemy go na użytek czytelniczek, które pragnęłyby wziąć udział w wystawie.

Poza tem postanowiono zaprosić do Komitetu p. Kazimierę Wyganowską p. Krzeczunowiczową i p. Boćnikowską.

Do Komitetu honorowego Wystawy zaproszone zostały:

Koło Polek, Koło Ziem. w Warszawie, Koło Młodych Ziemianek, Koło Gospodyń Wiejskich, Poznańskie Koło Ziemianek, Małopolskie Koło Ziemianek.

Na propozycję Komitetu pani Chmielińska z godziła się napisać książkę o Liskowie.

Z ŻYCIA PROWINCJI

RADOM w styczniu

Stowarzyszenie „Młoda Polska” urządziło przy pomocy nauczycielstwa szkół powszechnych cykl pogadanek ogólno-kształcących dla pozaszkolnej młodzieży żeńskiej. Na pogadanki te młodzież uczęszczała gorliwie.

ŁÓDŹ w styczniu.

„Koło Polek” w Łodzi podjęło się stworzenia „Ogniska rodzinnego” dla dzieci ulicy.

Po ulicach miasta, o przeszło pół milionowej ludności, wałęsają się setki dzieci, nie mających swego domu i opieki rodzicielskiej. W trybie takiego życia ginie wiele jednostek zdolnych i użytecznych i dlatego też dziećmi temi zająć się społeczeństwo musi.

Szkoły wykonują tylko w części swe zadanie, — a społeczeństwo nie może biernie przypatrywać się wysiłkom Rządu i władz komunalnych, starających się ogarnąć wszystkich pracą organizacyjną, oświatową, ustawodawczą i t. p.

„Koło Polek”, uznając, iż przede wszystkim kobieta-polka wziąć winna na swe barki opiekę nad dziećmi ulicy, postanowiło zakreślić szeroki plan działania i objąć nim młodzież płci obojga.

Do pracy tej niezbędne są jednak poważne fundusze i celem zdobycia ich Zarząd Koła Polek postanowił urządzić szereg imprez dochodowych, tak w okresie karnawałowym, jak i następnym, wielkopostnym.

ODCZYTY I WYKŁADY

— Dnia 25 stycznia z okazji narodowego święta Jugosławii — akademickie koło polsko jugosłowiańskie urządziło akademię w auli uniwersytetu. Dr. Kawecka wygłosiła referat na temat „Początki literatury serbskiej, a działalność Św. Sawy.“

— Dn. 23 stycznia w sali wykładowej Kliniki dziecięcej Uniwersytetu warszawskiego, przy ul. Litewskiej 16, na kursie dla pielęgniarek i higieniestek p. Stefania Bojarska wygłosiła odczyt p. t. „Jak krzewić ruch kulturalno - oświatowy wśród żołnierzy.“

— Na wykładach dla inspektorów pracy, które ukończone zostały, 8-go b. m. d-ra Joteykówna wygłosiła „O orientacji zawodowej“.

CO PISZE PRASA

— „Polonia“ (Paryż) № 7 rozpoczęła druk feljetonów p. Janiny Tańskiej p. t. „Kobieta polska w kraju i na wychodźstwie“. Autorka zdaje się nie posiadać dokładnych i świeżych informacji o życiu kobiet w kraju.

W tem samym piśmie znajdujemy M. E. Haczyńskiej „Fragmenty o miłości“. „Zupełnie inaczej wyglądałaby nasza moralność i prawodawstwo, gdyby ludzie nauczyli się być uczciwymi w miłości“ — mówi autorka.

— „Kurjer Lwowski“ № 17 zamieszcza artykuł p. t. „O opiece nad młodemi kobietami“. Artykuł omawia sprawę Misji kolejowych, które w roku bieżącym wznowione zostały na Dworcu Głównym we Lwowie.

— „Wiadomości Literackie“ № 4. r. b. zamieszczają Boya — Leleńskiego długie i szczegółowe sprawozdanie, z wydrukowanej świeżo w № 5 „Revue Hebdomadaire“, korespondencji p. Hańskiej — Balzkowej. Listy te, pisane do rodzzonego brata Adama hr. Rzewuskiego, podane zostały druku przez księżnę Katarzynę Radziwiłłową, bratanicę p. Hańskiej.

— „Przyjaciel Szkoły“ (Poznań) № 1. r. IV zamieszcza tłumaczony z angielskiego artykuł Marty Mazurowskiej p. t. „Szkolnictwo Powszechne w Polsce“. Artykuł ten drukowany był w amerykańskim czasopiśmie pedagogicznym „New York state education“ w zeszytach I-ym z września ub. roku. P. Mazurowska, urodzona w Buffalo, tam uzyskała dyplom seminarjum nau-

czyć elskiego. Rodzina jej pochodzi z P. morza. Pisuje po angielsku. W roku ubiegłym zwiedziła Polskę i w ogólnych zarysach narysowała obraz polskiego szkolnictwa powszechnego dla informacji pedagogów amerykańskich. Sąd jej o młodym szkolnictwie polskim wypadł bardzo dodatnio. Podnosi ona zwłaszcza ofiarny, pełen poświęcenia charakter przeważnej części nauczycielstwa polskiego.

— „Kurjer Lwowski“ z dn. 2 stycznia 1925 r. w artykule p. t. „Spółdzielnia Spożywców a Kobieta“, wyraża ubolewanie, że kobiety za mało interesują się ruchem spółdzielczym i pozwalając się wyzyskiwać prywatnym kupcom, nie przywiązują dostatecznej wagi do oszczędności groszowych, mających w całokształcie gospodarstwa społecznego tak kolosalne znaczenie“.

— „Echo Warszawskie“ z 4 stycznia zamieszcza artykuł podp. H. C. p. t. „Misja Dworcowa przy pracy“. Artykuł zawiera informacje o działalności świeżo założonej Misji Chrześc. Tow. Ochrony Kobiet“ na Dworcu Głównym w Warszawie.

— „Kurjer Warszawski“ z 8 stycznia w artykule podp. W. S. p. t. „Ważny Zawód dla kobiet“ porusza sprawę pielęgniarek i przypomina, że 1 lutego rozpoczyna się nowy semestr w warszawskiej szkole pielęgniarek, mieszczącej się w zabudowaniach Czerwonego Krzyża.

— „Dzień Trybunalski“ № 115 z dn. 24/XII przedrukowuje z „Komunikatu Biura Prasowego dla spraw kobiecych“ wiadomość o projekcie powołania kobiet do służby policyjnej.

— „Życie Wołynia“ № 3 w art. p. t. „Obowiązek społeczeństwa“, nawołując do powiększenia liczby ochronek i sierocińców na Wołyniu, zaznacza, że najbardziej potrzebuje pomocy ochronka w Ochłopowie, gdzie całą akcją opieki prowadzi jedna tylko osoba p. Krasicka z Chołoniowa.

— Do rzędu pism, które wprowadziły u siebie dział poświęcony sprawom kobiet, należy paryska „Polonia“.

W № 8 tego pisma spotykamy w dziale tym artykuł „Ze Złotej księgi ludzkości“, kreślący sylwetkę Ludwiki Koppe, żony skromnego rzemieślnika, założycielki t. zw. Domu macierzystego, schroniska dla kobiet opuszczonych i pozbawionych pracy w Paryżu.

— „Drwęca“ czasopismo, wychodzące w Nowem Mieście na Pomo-

rze, a redagowane przez p. Marię Bugusławską, zaprowadziło rubrykę, poświęconą życiu kobiety, zatytułowaną „Matka, Żona, Obywatelka“.

W Nr. 11, „Drwęca“, w rubryce powyższej, znajdujemy artykuł poświęcony sprawie emigracji kobiet polskich. Obok uwag słusznych znajdują się tam informacje nieścisłe, lub pochodzące z czasów dawniejszych, a dotyczące, prowadzonej jakoby, przez Państw. Urząd Emigracyjny, propagandy na rzecz emigracji dziewcząt polskich do Francji. P. Urząd Emigracyjny odmawia obecnie pasportów samotnym młodym kobietom, pragnącym wyjechać do Francji w celach zarobkowych.

— „Informacja Powszechna w rubryce „Echa“ notuje autentyczne szczegóły egzaminu, jakiemu poddano kandydatkę na maszynistkę w urzędzie sądowym. Pytano ją bardzo szczegółowo o ustrój państwowy Anglii.

WIEDZA I SZTUKA

Tow. Sztuk Pięknych we Lwowie wystawia p. Marji Wodzińskiej: studja z Huculszczyzny.

— Przy naprawianiu drogi zniszczonej wylewami Warty, w Wielkopolsce odkryto ślady grobów, chat i pieca garncarskiego. Muzeum wielkopolskie wystawia p. Aleksandra Karpińską, asystentkę naukową działu przedhistorycznego, celem zbadania wykopalisk.

NA SZPALTACH PRASY

— „Płomyk“ Nr 21 drukuje Anny Kozłowskiej „Z opowiadań babuni“ (wspomnienie z r. 1863). Ewy Szelburg Ostrowskiej „Anielskie pióreczka“. J. Jahołkowskiej „Zima“. M. Skłodowskiej „Mebelki dla lalek“.

— „Słowo“ (Radom) Nr. 20 drukuje artykuł p. Daszyńskiej-Twornickiej, poświęcony pamięci r. 63. Chcemy wierzyć, że winą korektora, czy zecera, jest ustanowienie rocznicy postania na dzień 19 stycznia.

— „Przegląd Poranny“ (Poznań) drukuje w dodatku powieściowym utwór p. Ewy Szelburg-Ostrowskiej p. t. „Ta, której nie było.“

WIADOMOŚCI ZAGRANICZNE

PERSJA.

Wyższe szkoły dla kobiet. Wedle statystyki urzędowej, liczba kobiet, które ukończyły szkoły wyższego stopnia (odpowiadające mniej więcej szkole średniej) wynosi 7.000. Nie należy zapominać, że pierwsze szkoły tego typu otwarte zostały w Persji zaledwie przed 7-miu laty.

WYSPI FILIPIŃSKIE

Więcej studentek, niż studentów. Uniwersytet państwowy na wyspach Filipińskich liczy w semestrze bieżącym więcej słuchaczek, niż słuchaczy. Jako przykład posłużyć może następujące zestawienie: podczas ostatnich egzaminów na wydziale farmaceutycznym otrzymało patenty z ukończenia tego wydziału 42 studentki, studentów zaledwie 4-ech.

AUSTRJA.

Wiedeńskie policjantki. Czytamy w „The Catholic Citizen”, że liczba policjantek w Wiedniu wynosi przeszło 400 (ogólna liczba personelu policyjnego w tem miesiącu nie przekracza 1200 osób; jest to więc jak widzimy, odsetek dość duży). Podkreślone jest jednocześnie, że policjantki te nie stykają się prawie zupełnie z publicznością. Praca ich, choć naogół bardzo ciężka i odpowiedzialna, wykonywana jest, rzec można, „za kulisami”.

FRANCJA.

Wezwanie wszystkich kobiet do współpracy. Pani de Sainte Croix, przewodnicząca Rady Narodowej Kobiet we Francji, wydała odezwę, wzywającą wszystkie kobiety francuskie do solidarnej współpracy w akcji domagania się praw obywatelskich. Znana działaczka zwraca się jednocześnie do rządu francuskiego, w szczególności zaś do prezydenta Herriota i ministra spraw wewnętrznych Chantemp'a, z przedstawieniem konieczności nadania tych praw kobiecie francuskiej, która dostatecznie już wykazała swe uświadomienie i wysoką ofiarność obywatelską podczas wielkiej wojny.

Opiekunki fabryczne. W fabrykach francuskie, gdzie pracuje większa ilość kobiet, spotykamy prawie zawsze opiekunkę fabryczną, t. zw. „intendante d'usines”. Stanowisko to zajmują osoby inteligentne i odpowiednio wykształcone, a zadaniem ich jest społeczna

opieka nad robotnicami, czuwanie nad ich potrzebami, warunkami pracy, higieną, łagodzenie zatargów i pośredniczenie w zatargach z zarządami fabryki. Funkcje te ograniczają się do wewnętrznego pola działania na terenie danego zakładu przemysłowego, niezależnie od rządowej inspekcji pracy.

Działalność opiekunek fabrycznych rozpoczęła się podczas wojny, gdy całe masy kobiet napłynęły do wielkich warsztatów pracy. Zaczęło się od inicjatywy prywatnej kilku pań z burżuazji, które nie mogąc inaczej służyć walczącemu bohaterom krajowi, zainteresowały się dołą robotnic fabrycznych. Używały one u właścicieli fabryk ulepszenia warunków higienicznych, łagodziły zatargi, przyczyniały się do stworzenia i prowadzenia żłobków i ochron fabrycznych dla dzieci pracowników, pracując same bezinteresownie. Rola opiekunek fabrycznych stała się wkrótce tak owocną i tak niezbędną, że sami właściciele fabryk, niebawem z początku radzi tym „fantazjom społecznym” młodych osób, rozpoczęli angażowanie „intendentek” na bardzo dobrych warunkach stałej pracy.

Na stanowiska opiekunek fabrycznych kształcą się francuski w szkołach pracy społecznej, (Ecoles sociales) znajdujących się w paru większych miastach. Paryska wyższa szkoła żeńska „Ecole Progalia” przekształciła się w taką szkołę pracy społecznej, z której wychodzą przyszłe higienistki szkolne, higienistki - wizytatorki, odwiedzające domy i rodziny, pielęgniarki dla żłobków, ochron i t. d., oraz opiekunki fabryczne.

Szkoła daje naukę teoretyczną i studia praktyczne. Po ich odbyciu kandydatka musi zdać piśmienisty raport z praktyki, który jest do wodom nie tylko jej wiadomości, ale uzdolnień i poziomu uspołecznienia.

KSIĄŻKI

Przegląd Bibliograficzny Nr 11 notuje książki następujących autorek:

— Bogucka C. Niewiadomska C. „Wypisy polskie” na kl. I, wyd. 15-ste. Nakł. Gebethnera i Wolffa.

— Borudzka Wanda „Safirowa Próznia” Wilno 1924. Nakładem L. Chomińskiego.

— Buyno Marja „Duch Górski”, „Dumny Smerk”, „Duch Burzy”—Baśnie górskie, wyd. Arcta—Warszawa.

— Bujno-Arctowa Marja „Gwiazdka Michasia”, „Choinka”, „Skarbonka”, „Dziewczynka na posyłki”—Komedijki. Warszawa 1924, wyd. Arcta.

— Daszyńska Stanisława „Choinka czarodzieja Bardy.” Lwów. Nakł. Księgarni naukowej.

— Dembińska M. „Fauna malakologiczna wapieni łąkowych niektórych miejscowości Wielkopolski” Poznań 1924. Nakład Poznańskiego Tow. Przyj. Nauk.

— Popławska Felicja „Pogadanki o życiu i rozwoju ludzi przedhistorycznych”, wyd. 4-te. Wyd. im. Bogusławskiego.

— Szpyrkówna M. H. „Człowiek, który zwarjował”. Warszawa, nakł. K. Wojnara.

— Śmiarowska J. dr. „Higiena kobiety we wszystkich okresach jej życia, ze specjalnem uwzględnieniem higieny małżeństwa i niemowlęcia” Lwów 1924, wyd. i nakł. Księgarni Nauczycielskiej.

— Niewiadomska C. i Z. Szymdłowa „Nasi pisarze” wyd. Gebethnera i Wolffa.

Nr 2 „Przeglądu Bibliograficznego” (r: 1925) zamieszcza notatki o książkach następujących autorek:

— Julja Kisielewska; „Z Konarskich Zofja Bukowiecka — Wydawnictwo Koła P. M. S. im. Zofji Bukowieckiej.

— W. Klockówna: „Rachunki dla szkoły powszechnej”, nakład Spółki Akcyjnej „Nasza Księgarnia”

— Janina Adam: „Bez złudzeń”, Warszawa 1925.

— Arnoldowa F. I. Witwicka „Elementarz” Lwów 1924. Nakł. Kuratorjum szkolnego.

— Szpyrkówna M. H. „Czerwone antofelki, czyli przygody Zosi, w Afryce”. Warszawa 1925. Nakł. Księgarni Wojnara.

* * *

— Dr. Irena Lipska: „Z mikrobiologii rolnej i przemysłowej—ćwiczenia praktyczne z 7 ilustracjami. Podręcznik dostosowany do potrzeb średnich szkół rolniczych.

— Anastazja Gancewa pisarka bułgarska przełożyła z polskiego na bułgarski dzieło Antoniego Chołoniewskiego „Duch dziejów Polski”. Tłumaczenie nosi tytuł: „Ducht na polskata istoryja”.

SPORT

Pływanie. P. Wraniwright zdobyła mistrzostwo Ameryki przepływając 220 jardów w 2 min. 51 $\frac{1}{2}$ sekundy i bijąc 7 najlepszych zawodniczek amerykańskich.